

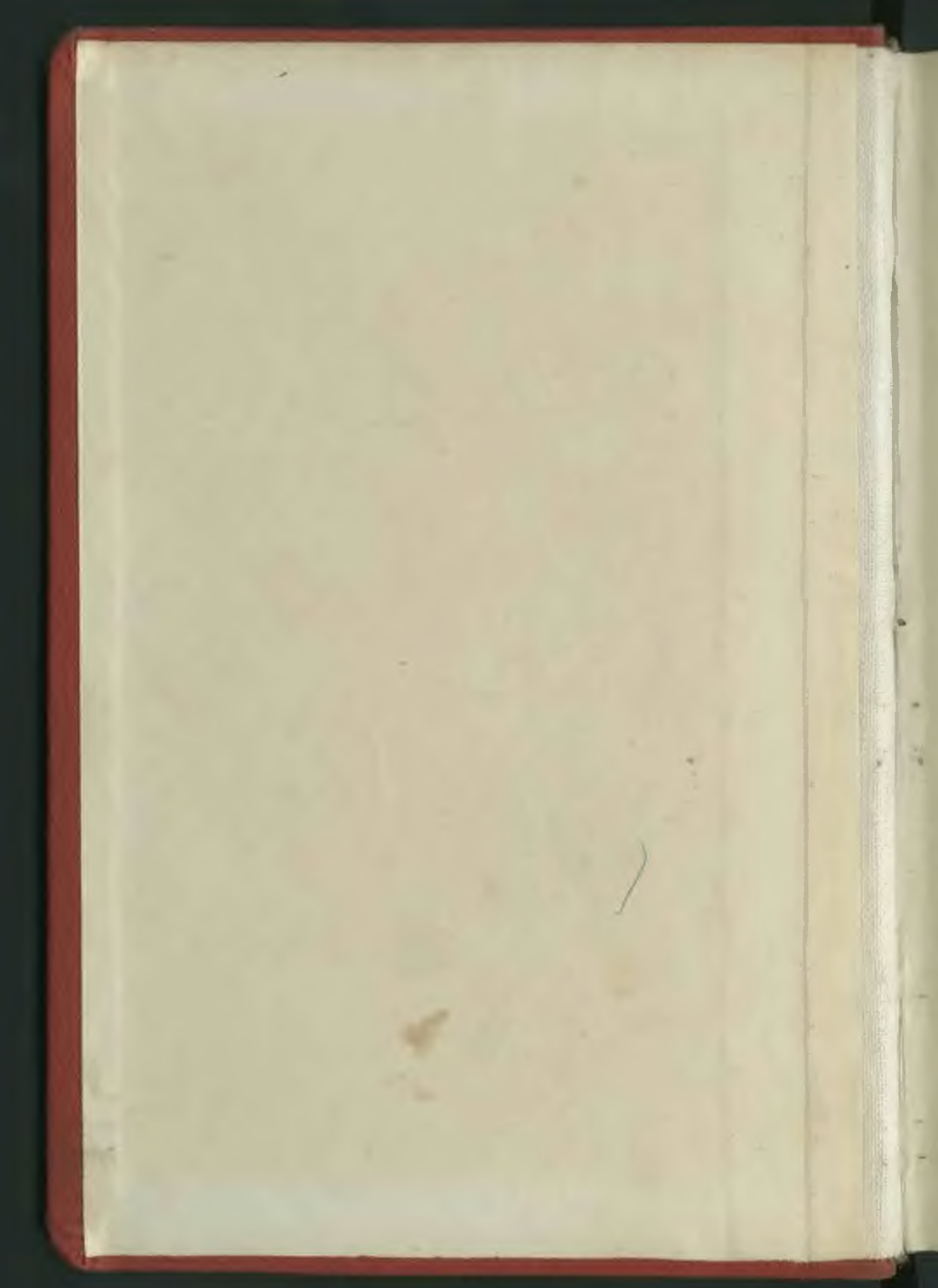
ZOFJA ŻURAKOWSKA

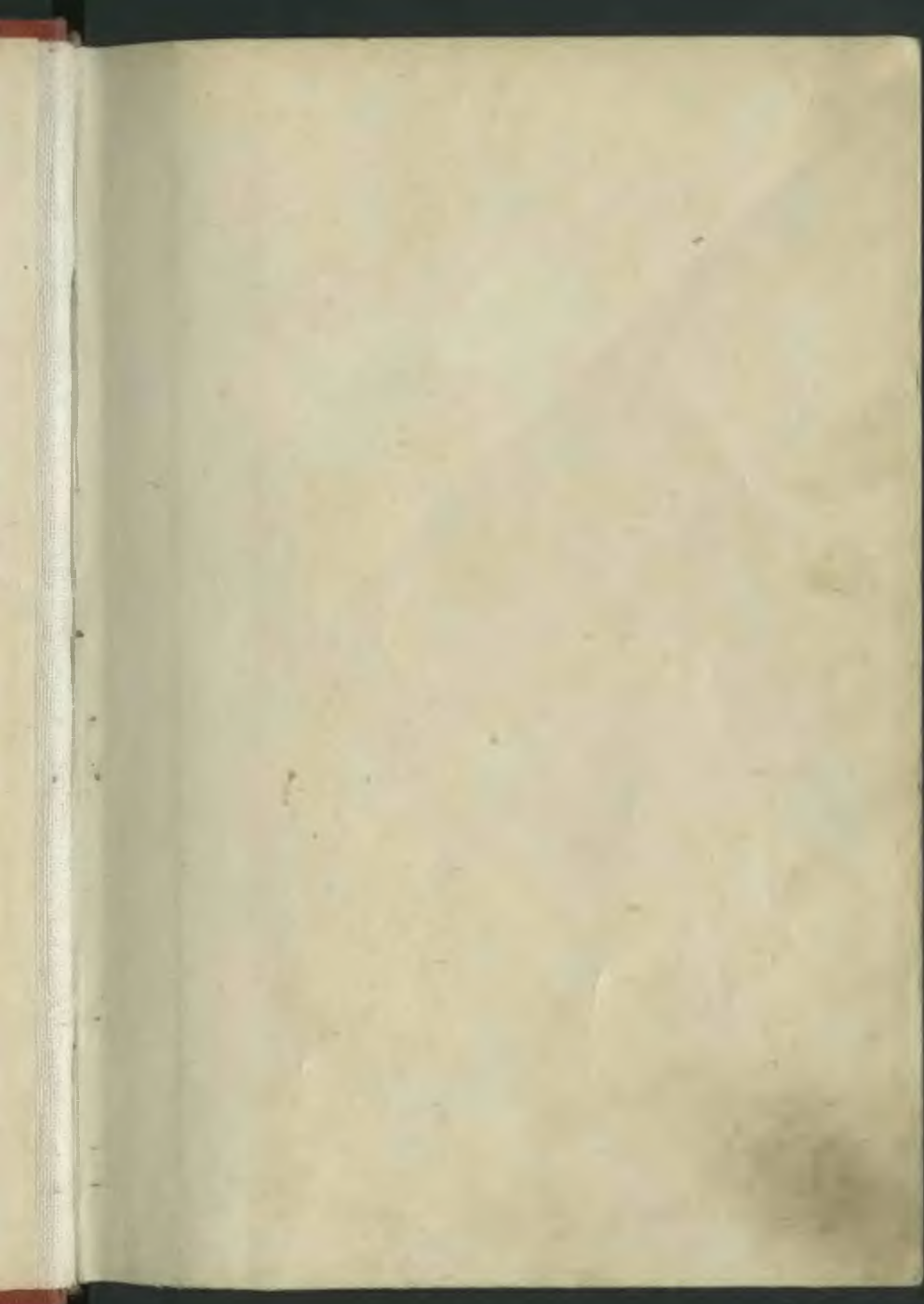
PÓJDZIEMY W ŚWIAT

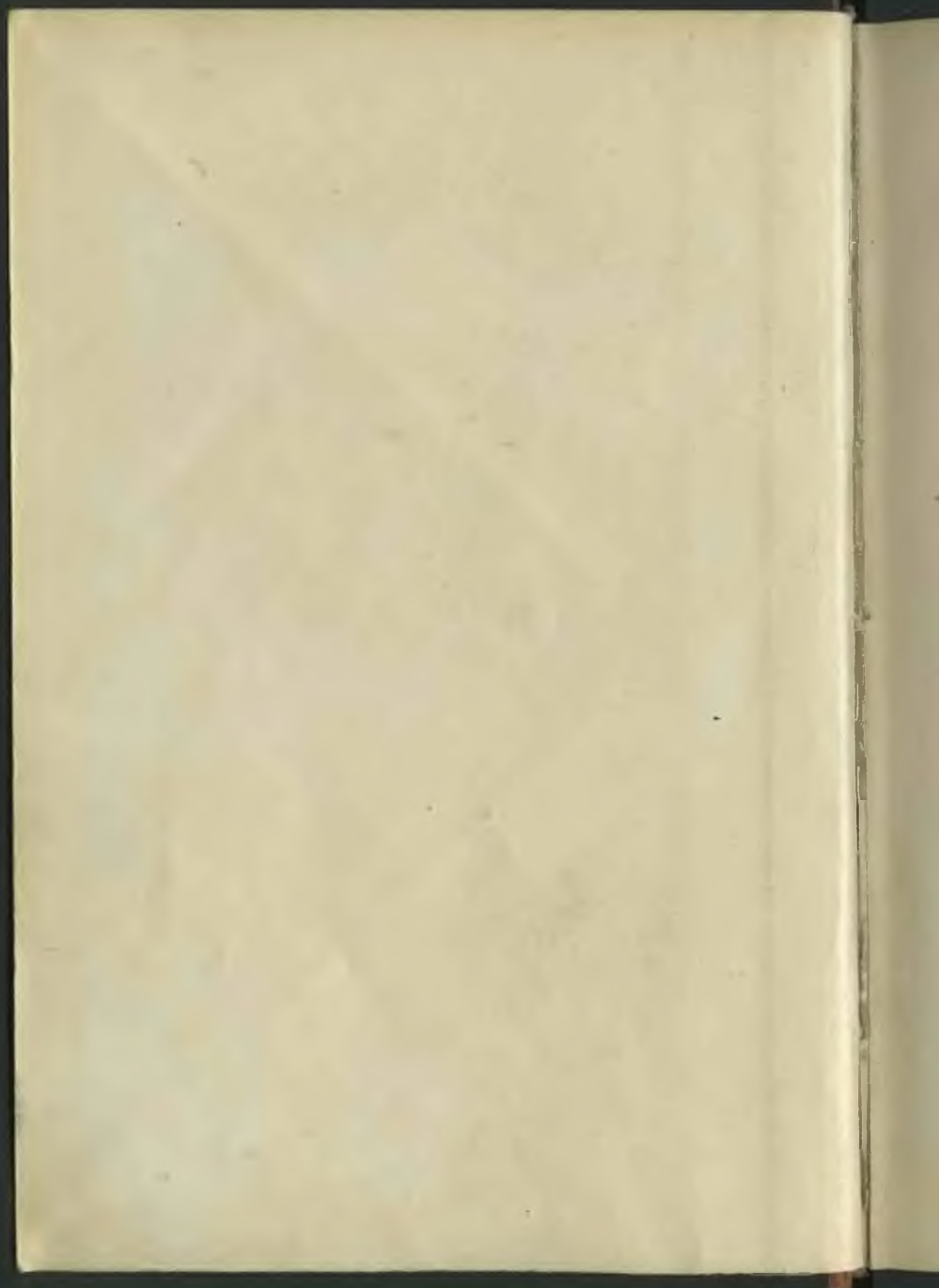
WYDANIE DRUGIE



WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA







PÓJDZIEMY W ŚWIAT

440930

ZOFJI ŻURAKOWSKIEJ
KSIĄŻKI DLA MŁODZIEŻY:

FETYSZ. Powieść
GOŚĆ Z AMERYKI. Opowiadania
JUTRO NIEDZIELA. Opowiadania
POŻEGNANIE DOMU. Powieść
ROMAN I DZIEWIĘTNASTU. Powieść
SKARBY. Powieść
TRZY SREBRNE PTAKI. Opowiadanie

NAKŁAD
TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE

30

EG-06.2121/1935-

Pm

ZOFJA ŻURAKOWSKA

PÓJDZIEMY W ŚWIAT

OPOWIADANIE DLA MŁODZIEŻY

WYDANIE DRUGIE



WARSZAWA—MCMXXXV—KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
T-WO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

R. 85/65



Muzeum Książki Dzieł

nr. inw. M. 19814

wypożyczalnia

Nr. 25

nr. inw. W. 67799

I

— Henryśka, pójdziemy w świat — powiedział ojciec do swojej czarnowłosej córki.

Zgodziła się odrazu.

— Kiedy? — zapytała.

— Może dziś. Tak, tak, myślę sobie, że właśnie dzisiaj.

Więc poszła zapakować rzeczy do plecaków. Nawet przez głowę jej nie przeszło, że ojciec mógłby żartować.

Inaczej jednak ten projekt przyjęła kucharka Bronisława. Powiedziała otwarcie co o nim sądzi:

— Że pan jest wiatrowy, wiadomo, ale żeby dziecko ciągnąć za sobą na piechotę?

— Nie zawsze będziemy iść piechotą, Bronisławo — mięko bronił się ojciec. — Czasem podjedziemy sobie, to wozem, to łódką, a nawet może koleją.

— I długo to to będzie tego świata? — zapytała krytycznie.

— Sama przyznasz, Bronisławo, że siedzieć przez sześć tygodni w mieście, w środku lata, sensu nie ma!

Biedny ojciec myślał, że tem trafi swej kucharce do przekonania. Ale Bronisława krzyknęła:

— Sześć tygodniów, święta Teresko! sześć tygodniów będzie się pan z dzieckiem pętać po świecie?

Nie było rady. Już musieli pogodzić się z tem, że projekt nie zyska uznania Bronisławy.

Henrysia wzięła do plecaków tylko najkonieczniejsze rzeczy—po jednej zmianie bielizny i ubrania, trykoty kąpielowe, mydło, gąbkę, szczotki i swego ulubionego niedźwiadka.

Ojciec włożył ubranie sportowe, najpiękniejszą koszulę w paski, najgustowniejszy krawat, kapelusz panama i na dokończenie wsunął do swego plecaka tomik poezyj Słowackiego.

Ojciec i Henrysia zawsze jednakowo zapatrywali się na potrzeby życia.

Po za tem wzięli psa, Bobka.

Nie umawiali się dokąd pójść, ale i tak zgodnie udali się nad rzekę i szli dalej z biegiem wody.

Nieprawdopodobnie wesoło było nad rzeką. Słońce złociło żagle łodzi, syreny statków nawoływały się radośnie, a na plaży brązowe dzieci i ludzie dorośli krzyczeli jak opętani, z samej czystej uciechy istnienia.

— Zdrowa jesteś? — zapytał nagle ojciec, potrząsając rękę Henrysi.

Tylko się roześmiała, błyskając dwoma rzędami białych zębów, w oprawie ust, czerwonych jak maki.

— Ho, ho! dojdziemy sobie gdzie nam się podoba! — z triumfem obwieścił ojciec rzece, która również płynęła z tym samym zamiarem, opasania ziemi serdecznym uściskiem.

— Dobrzeby było podpłynąć łodzią — poradziła Henrysia.

— Prawda, skróciłoby to nam drogę—zgodził się ojciec.

Henrysia parsknęła śmiechem.

— Paradny jesteś tatusiu, paradny! Jaką drogą? Przecież idziemy, gdzie nam się podoba, więc cóżby nam skróciło?

Ojciec stropił się. — No więc cóż? — powiedział, żeby obronić swoje stanowisko—ale przecież wkońcu gdzieś zejść musimy, więc tak czy owak, jednak skróciłoby drogę. Ale czy ty wzięłaś ze sobą jakiś zakiecik? — zatroszczył się, patrząc na letnią sukienkę córki i bosc jej nogi w brązowych sandałach.

— Nie wzięłam, bo jest gorąco.

— Ale czy będzie?

— Naturalnie, że będzie, z całą pewnością—stwierdziła energicznie dziewczynka.

Ojciec ucieszył się ogromnie.

— Ach jak to dobrze!—zawołał—to także jest moje przekonanie—i potem oboje śmieli się tak serdecznie, aż przechodnie oglądali się za nimi z zazdrością, a Bobek szczechnął paręrazy uprzejmie, ażeby okazać, że bierze żywy udział w rozmowie.

Już byli daleko, daleko za miastem, wśród pól rozjaśnionych dojrzewającym zbożem. Szli

ciągle brzegiem wesołej rzeki i ciągle mieli pod stopami zcałowany jej wargami piasek.

— Nikomu nie będziemy mówili, że idziemy w świat — powiedział ojciec.

— Boby się wyśmiewali — zgodnie kiwnęła głową Henrysia.

— I nawet nie wierzyliby nam — ciągnął ojciec — będziemy twierdzili, że udajemy się tam a tam.

— Aha.

— Teraz spróbujemy czyby nas nie podwieźli tą żagłówką.

— Bardzo dobrze. Ale dokąd, tatusiu, dokąd? Przecież musisz określić jakieś miejsce, gdzie pragniesz być podwieziony. Nie poprosisz: „podwieźcie mnie w świat, moi drodzy“.

— No więc dajmy nato, że do Królewskiej Wsi.

Henrysia pokręciła czarną głową.

— A czy jesteś pewien tatusiu, że taka Królewska Wieś istnieje?

— Wcale nie jestem pewien — przyznał ojciec, ale cóż z tego? W jakimś miejscu powiemy — o, to właśnie tu niedaleko — i wysiądziemy na brzeg.

Henrysia projekt wydawał się ryzykowny, bo a nuż ci w żagłówce, to jacyś wielcy, patentowani krajoznawcy, którzy powiedzą z oburzeniem: „Mój panie, tu żadnej Królewskiej Wsi nie ma w okolicy!“ — Ale ostatecznie zgodziła się, bo już jej było trochę za gorąco na tym brzegu

i czuła wielką ochotę wyciągnięcia się na dnie żaglowej łodzi.

Teraz, kiedy już tyle powiedziałam o Henrysi i jej ojcu, błagam was, nie uważajcie ich za parę warjatów! Byli to naprawdę normalni ludzie — jedli, spali, pracowali i mieszkali jak wszyscy inni. Henrysia chodziła do szkoły, z dobrym wynikiem, ojciec jej do swego biura. Mieli krewnych i znajomych, lubili kino, ciastka i dnie świąteczne, a nienawidzili nudnych wizyt, dwójek w cenzurze, pisania na maszynie i gderania kucharki Bronisławy.

Oboje byli młodzi (ojciec trochę starszy, ale niewiele) oboje byli silni i zdrowi, i bardzo odważni.

I otóż właśnie — nie uważali za konieczne naśladować we wszystkim innych, i byli najgłębiej przekonani, że można czasem iść za podszepem fantazji i robić to, co zniecka przychodzi do głowy, o ile pomysł ten dla nikogo nie jest przykry, ani szkodliwy.

I tylko z tej racji, najniesprawiedliwiej w świecie, ciotka Klara mówiła czasem o ojcu:— „Ten drogi Henryk ma naprawdę pstro w głowie, obawiam się o przyszłość jego córki“.

Ale oni — ojciec i córka nie obawiali się bynajmniej! a nawet wcale nie myśleli o tej tam przyszłości!

— Dziś, Henrysiu, dziś właśnie musisz być jaknajlepsza, jaknajmądrzejsza i jaknajweselsza — nie licz na dzień jutrzejszy, moja córko—mówił

ojciec. — Dziś oddaj ludziom, co masz im do oddania i bierz, co możesz wziąć i kochaj, co masz zamiar kochać i zrób, co masz do zrobienia. Nic nie odkładaj na jutro.

Więc właśnie nie odłożyli na jutro wycieczki w świat i dziś, w słoneczne, rozbłękitnione dziś, szli brzegiem ruchliwej wody.

Ojciec złożył ręce w trąbkę przy ustach i krzyknął w kierunku żaglowej łodzi: — Hop, hop-hop-hop! — Z za żagla wychyliła się smukła postać, w białych spodniach i koszuli, rozpiętej na piersiach. Przy tej białości głowa, szyja i obnażone ramiona wydawały się odlane z czystego brązu.

— No, a czego tam potrzeba? — zapytał brązowo-biały chłopiec.

— Możebyście zechcieli podwieźć nas kawałek drogi? — zapytał ojciec już trochę ciszej, bo zauważył, że rzeka nie jest tak bardzo szeroka, jak się na oko zdawało.

— A no dobrze — brzmiała odpowiedź i łódź powoli zmieniła kierunek, pod nakazem przesuniętego żagla.

— Wstań-no trochę, Antek i włoż coś nie coś, bo mamy podwieźć jakiegoś pana i panienkę.

Nad poziomem nogi zatrzepotały nagle dwie białe nogawice i błysnęła para opalonych nóg, potem muskularne ręce wykonały jeszcze kilka nieskomplikowanych ruchów i wreszcie z za burty wychyliła się druga ciemna głowa, opatrzona parą ciekawych oczu.

— No, już bliżej nie podjedziemy, bo piassek — powiedział pierwszy chłopak — może zresztą był to dorosły człowiek, trudno się było wyznać w tej jaskrawej bieli, ile kto może mieć lat.

Ojciec i Henrysia zdjęli obuwie i przeszli do łodzi, po wygrzanej wodzie i jedwabistym piasku.

— My się czasem wywracamy — ostrzegł młodzian, nazwany Antkiem.

— Ale nie często? — upewnił się ojciec.

— O, nie! i dziś przytem niema dużego wiatru, ja tylko tak na wszelki wypadek.

Drugi chłopiec skierował łódź na środek rzeki, i sięgnawszy do skrzynki, przybitej pod ławką, wyjął z niej i podał Henrysi koszyczek dużych ciemnych wisien.

— Ach, co za radość! — krzyknęła dziewczynka.

— Owszem, to jest radość — zgodził się Antek poważnie. — Wogóle niech pan sam przyzna — zwrócił się do ojca — woda, słońce, waka-cje, wiśnie w koszyku!

— Właśnie to samo myśleliśmy i dlatego ruszyliśmy w świat.

— Ach, tatusiu! miałeś nikomu nie mówić — oburzyła się Henrysia.

— Przecież odrazu widać, że ci chłopcy mają takie same zapatrywania na życie, jak i my — z zawstydzeniem wytłumaczył się ojciec. — Więc można im powiedzieć, że idziemy w świat, na cztery, a może i na sześć tygodni.

Oddawna już Henrysia zauważyła, że kiedy ojciec postanawiał o czymś nikomu nie mówić, to właśnie mówił pierwszemu, który się nadarzył.

Obaj chłopcy wpadli w pyszny humor.

— No, to świetnie—wołali jeden przez drugiego—bo my właśnie także płyniemy do morza. Moglibyśmy płynąć razem. Widzi pan jaka duża jest nasza łódź?

Henrysi uśmiechnęła się ta myśl, ale ojciec pokręcił głową.

— Nie, to niemożliwe — powiedział — bo my musimy być nie tylko na wodzie, ale i na ziemi. W różnych chatach i ogrodach, pomiędzy zbożem, a także i w lesie. Nie możemy płynąć do morza, bo mamy tylko kilka tygodni przed sobą, a tu tyle jest do zobaczenia!

— A no, to trudno, jeżeli tak! — westchnął Antek i dalej pojadał wiśnie z koszyka, siedząc na dnie łodzi.

— Moje zapatrywania na życie są takie — zaczął nagle chłopiec, wsparty na maszcie. — Jak pracować, to całą parą, a jak wakacje — na łódkę! I otóż właśnie mamy już maturę, ja i mój przyjaciel Antek. Dlatego wynajęliśmy sobie tę łódź żaglową i płyniemy do morza.

Henrysi nie chciało się ani rozmawiać ani już więcej jeść. Położyła się na dnie łodzi i patrzyła w niebo.

— Właściwie to Antek wynajął i on zakupił prowiant i wszystko co jest na tej łodzi,

a nawet moje ubranie. Bo ja nie mam pieniędzy—dorzucił po chwili chłopiec.

— No i cóż z tego? co to kogo obchodzi?—gniewnie wzruszył ramionami Antek.

— Nic. Tylko pocóż ten pan zaraz ma sobie wyobrażać, że ja jestem magnat i jeżdżę własnym jachtem? Daleko lepiej, żeby wiedział jak rzeczy stoją.

Łódź przepływała właśnie koło zielonej łąki, za którą widniała duża wieś, w bukietach drzew. Już słońce przetoczyło się na zachodnią stronę i kładło duże cienie na gorącej ziemi.

Chłopiec przy maszcie zaśpiewał pełnym głosem:

*Ja i ty — żaglowa łódź!
Słońce praży — leżę na dnie
Wtedy, przyjacielu, zbudź,
gdy wieczorna rosa spadnie
Na wieczorny chłodny wiew
otworzymy żagiel biały.
Śmigle stada rzecznych mew,
Przyleciały.*

*Wtedy, przyjacielu, zbudź,
kiedy księżyc błysnie w wodzie.
Płynie nasza chybka łódź,
Na swobodzie.*

— No, już dobrze, już dobrze! — mruknął Antek z zawstydzaniem. — Niema czem się popisować.

Ojciec powiedział: — Któż to wymyślił, że życie jest smutne?

Chłopiec przy maszcie przechylił się przez burtę i nabrawszy w dłonie wody, obmył nią głowę. Uśmiechnął się do ojca życzliwie.

Nie chciało mu się opowiadać o tem, jak to całą zimę zmagał się z głodem, zimnem i zmęczeniem.

II

Kiedy już słońce zaszło, ojciec i Henrysia pożegnali białych chłopców i łódź żaglową.

— Dowidzenia—wołali chłopcy—my to się napewno spotkamy.

Ojciec nie miał pod tym względem żadnych wątpliwości.

— Naturalnie, bo przecież teraz my musimy poczęstować was koszykiem wisien—wołał, powiewając panamą.

— Może to będzie już zima—krzyknął już zdaleka Antek.

— W zimie są jabłka i pomarańcze — odkrzyknął ojciec—i łódź oddaliła się, wdzięczna i chybka, pod wzdętym żaglem.

Szli teraz ojciec z Henrysią, ku wsi niedalekiej.

Od brodu dziewczęta pędziły krowy w rzece wyszorowane, gwarząc i sprzecząc się wesoło. Niebo wzniosło się wysoko, niepokalanie czyste.

— Czy ty, tatusiu, wzięłeś ze sobą trochę pieniędzy?

— No bo co?

— No bo mogłoby się tak zdarzyć, że bylibyśmy głodni—trochę niespokojnie westchnęła Henrysia.

— Więc coś z tego?—zdziwił się ojciec — czyż nie będziemy spotykać po drodze osiedli ludzkich? Przecież właśnie idziemy ku wsi. Po wsiach wieczorem ludzie zwykle jadają.

Henrysia niecierpliwie potrząsnęła ręką ojca.

— Ale im trzeba za to płacić, pieniędzmi, ty tatusiu dziecinny!

— Och, martwią mnie twoje zapatrywania, Henrysiu! Czy myślisz, że daliby nam ludzie umrzeć z głodu, sami zjadając się kwaśnem mlekiem z kartoflami?

Może i Bronisława miała trochę racji, twierdząc, że pan jest „wiatrowy“.

— Nie będziemy przecież nadużywali gościnności obcych ludzi — powiedziała z godnością Henrysia.

— Czy Bronisława karmi czy nie karmi każdego, kto zajrzy do naszej kuchni?—zapytał ojciec.

— Karmi. I co z tego?

— My karmimy jednych, a nas nakarmią drudzy. W życiu to tak.

Henrysia popadła w rozpacz.—Nie będziesz się wstydził, tatusiu, prosić, żeby ci dali jeść, tak ni stąd ni zowąd?

— Ani trochę.

— A ja będę.

Ojciec wyjął z kieszeni portmonetkę i wrę-

czył ją swej córce. Powiedział jej, żeby sobie płaciła, jeżeli takie już ma zasady. — A ja nie będę płacił — dokończył.

Henrysia odetchnęła z ulgą. Chwała Bogu są pieniądze! I cóż ten ojciec sobie myśli! Niechby spróbował tylko zajść do sklepiku, choćby w tym samym domu, w którym mieszkają od lat dziesięciu i proponować, żeby mu dali darmo ćwierć funta szynki. Zobaczyłby, że w życiu bywa rozmaicie. I jakie dzikie wymagania!

— To jedni tyłkoby sobie chodzili tu i owdzie i ciągle jedliby na cudzy koszt, a inni musieliby na nich pracować! No nie, tatusiu?

— Co za dziwne rozumowanie — roześmiał się ojciec — a może właśnie byliby tylko tacy, którzyby częstowali i zapraszali — a niktby nie chciał brać. Nic nie wiadomo, jakby to było.

Henrysia rozzłościła się. — Ach Boże, jaki ty Jesteś! Wytrzymać z tobą nie można, tatusiu najukochańszy. Uprzedzaj przynajmniej, kiedy żartujesz, a kiedy mówisz serjo?

Ale nie chciał uprzedzać, powiedział, że co dla jednego jest żartem, drugiemu wydaje się poważną prawdą.

I właśnie wchodzili do wsi szeroko zabudowanej.

Ojciec zatrzymał się w obejściu pierwszej chaty, dużej i krytej czerwoną dachówką.

Na podwórzu chłopak w wysokich butach wypręgał konie z wozu, kilkunastoletnia dziewczyna doila krowy w otwartych drzwiach obory,

a kobieta starsza w ganeczku domu wołała na nią srogim wlosem:

— A żebyś mi wydoiła Kwiatę pod pianę. Mleka nie ostawiaj.

— Szczęść Boże. Jak się macie gospodyni?— zapytał uprzejmie ojciec.

Spojrzała na przybyszów bacznie okiem i złagodziła nieco głos.

— Za wolą Bożą—odparła.

— Bo my tu idziemy z daleka. Nie dostałby u was posiłku?

— A no! Skądże to państwo idą?

— Z miasta—powiedział ojciec—tylko, że nam już w mieście obrzydło od tego gorąca.

Dziewczyna w oborze raz po raz oglądała się z ciekawością, strzykając mlekiem na boki. Natomiast chłopak odprowadzał konie z niewzruszoną obojętnością i spokojem.

— Psą niech pan trzymajom, bo się z naszym pokąsa—przestrzegła kobieta w ganku. — Zajdźcie, kiedy tak.

Wyniosła im w ganek pięknie zsiadłego mleka garczek, bochen czarnego chleba i biały ser. Jak z pod ziemi wyrosła wokoło przybyszów chmara dzieci różnej wielkości i gatunku—paroletni smarkacz w koszuli, wyglądającej rozporciem majtek, dziewczynina w suto marszczony spódnicy—inne zaś zgoła obdarte, świecące barwą zdrowego ciała, jasnością czupryn płowych, jak dojrzałe żyto. Wielka powaga malowała się na tych wszystkich twarzyczkach, a oczy nie-

bieskie, szeroko otwarte, śledziły każdy ruch niespodziewanych gości z natężeniem i nieufnością.

Bobek, piesek delikatny i skromny, czuł się dziwnie nieswojo wobec tak jawnie okazywanego zaciekawienia i starał się jak najmniej miejsca zająć między swym panem, a panią. Wogóle nie mówił tego, ale od chwili opuszczenia zagłówek wyraźnie potępiał dalszą wędrówkę w niezbrane kraje.

Spacer—rzecz dobra, jest to pewnik, w niczem jednak nie należy przesadzać. Bobek nie lubił przesady. Nigdy nie lizał rąk osób kochanych, tylko delikatnie trącał je nosem. Nigdy nie wskakiwał na kolana bez upoważnienia. Był zdania, że w tem co się odczuwa w sercu, nie może być przesady, ale w zewnętrznych oznakach miłości czy innych uczuć, należy zachować miarę.

I także trochę umiarkowania w przyjemnościach nie zawadzi. Spacer dnia dzisiejszego był zdaniem Bobisia przydługi, a już zupełnie niesmaczna wydała mu się ta wizyta na obcym ganku, to wystawianie się na ciekawość tłumu nieznanomych dzieci,

— Jak wam miasto zbrzydło na ten gorący, to czemu państwo nie mieszkajom na letnikach? — zapytała gospodyni, siadając na przeciwległej ławeczce.

— A bo nam się zachciało w świat — powiedział, śmiejąc się, ojciec.

— Zawszeć kajś mieszkać potrza.

— To tu, to tam, jak te cygany.

— A no! roześmiała się kobieta. — Ze to pewnie i dzisiejszej nocy nie majom państwo kaj przenocować?

Przez ganek przeszedł ciężko chłopak od koni i zniknął w ciemnej sieni.

— Syn? — zapytał ojciec.

— A no! Sam gospodarzy, bo mojego austriaki wzięły na wojnę i że już nie powrócił. Mańka, długo to będziesz jeszcze bałamucić kole krów?

— Jak pośpieszę, to matka będziecie krzyczyć, że nie wydojone jak należy, a to nie usprzątań! — hardo odkrzyknęła dziewczyna.

— Czyjeż to te wszystkie dzieci? — zapytał ojciec.

— A córki najstarszej, co jest za kowalem, ino, że chałupy jeszcze nimajom, co im się tagrok spaliła.

Na niebie gały czerwono fioletowe obłoki, malowane słońcem z za horyzontu. Sina mgiełka osnuwała łąki i przykrywała rzekę gęstą zaslona. Już wody kolor rubinowo złoty, roztopiał się w błękicie wieczoru.

Henrysię ogarniał leciutki niepokój przed nadchodzącą nocą w nieznanem miejscu. I gdzież to się kąt jaki znajdzie dla nich; łóżko, pościel— wśród obcych ludzi? A jeżeli nikt ich nie przyjmie pod dach?

Nigdy jeszcze Henrysia nie spała pod gołym niebem i trochę jej się ten bezmiar ponad głową, ta szerokość dookolna wydawała niepo-

kojąca. Z czterech stron świata mogłaby nadejść niewiadoma dola.

— No, to może państwo zanocujom w komorze — powiedziała gospodyni.

— Zanocujemy — zgodził się ojciec — znajdzie się to dla nas miejsce?

— A no!

— To i Bóg wam zapłaci.

Potem, ażeby nie przeszkadzać domownikom w spożyciu wieczerzy, ojciec z Henrysią poszli do sadu. I tu wśród drzewek bielonych i krzaków porzeczek ojciec westchnął, iż dużo chętniej przespałby się w ogrodzie — bał się jednak obrazić gospodynię.

— Pszczoły — powiedziała Henryka ostrzegawczo.

— A bał myślisz, że pszczoły w nocy nie śpią?

— Ale wstają o świcie.

— I my wstaniemy o świcie — Henrysia uśmiechnęła się z niedowierzaniem — żebyś wiedziała, że wstaniemy. Nie możemy zbyt długo marudzić w jednym miejscu.

— Skąd ty, tatusiu, umiesz mówić ze wszystkiemi?

— Śmieszne pytanie.

— Wcale nie śmieszne, tylko kiedy mówisz ze mną, to właśnie tak jak ja, a gdy przemawiasz do Bronisławy, to tak, jakgdybyś razem z nią się wychował w jednym pokoju, a z tą gospodynią to i „ano“ i „juści“ i „Bóg wam zapłaci“. Skąd się tak nauczyłeś?

— Phi... ojciec ruszył ramionami— chcę żeby mnie każdy miał za brata.

— Bo ja —ciągnęła Henrysia — nie umiem.

— Nauczysz się — pocieszył ojciec.

A potem poszli spać do komory—ojciec na wysoko usłanem łóżku—Henrysia na ściągniętej na podłodze pierzynie. Pchły gryzły — a przez otwarte okienko płynął zapach kwitnących akacyj i muzyka koncertu żab z nad rzeki.

cę że-

iem.

iec na
gniętej
przez
aka-

III

Obudziła Henrysię następująca rozmowa pod oknem:

— Do miasta jeździł w kapelusie nie będę—
mówił uparcie ponury głos.

— La Boga, Michał!

— Kupi mi matka kaszkiet — dobrze. Nie
kupi—sama będzie jeździła, ja nie!

Henrysia, nie słuchając dalszego ciągu nie-
pokojącej sprzeczki, zaczęła się spiesźnie ubierać.

Słońce sunęło już wysoko po niebie, łódko
ojca było puste, nawet jako tako zasłane. Wi-
docznie ojciec naprawdę wstał o świcie, a jej
nie obudził.

Znalazła go przed domem na pogawędce
z gospodynią. Wynikło z tej rozmowy, że wi-
rówka stoi od miesiąca zepsuta, a że ojciec był
majster od wszystkiego niezawodny, więc ura-
dzono, że weźmie się ostro do naprawy. Zdjął
kurtkę, zakasał rękawy, a Henrysi doradził od
serca, ażeby poszła z wnuczką gospodyni paść
trzy czarno białe krowy.

Łąka, na której pasano krowy, była dość daleko. Henrysia nałożyła szeroki kapelusz, wzięła do ręki zawiniątko z chlebem i serem i ruszyła w towarzystwie Stefki wślad za krowami.

Że było rzeczą interesującą, co taka panienska z miasta będzie w polu robiła, do kompanji przyłączył się jeszcze Staszek z rozporkiem w majtkach i Franuś, milczący ale życzliwy.

Słońce nie wypilo jeszcze rosy do cna, srebryła tedy łąki i pola, perliła się na liściach kapusty i opryskiwała nogi świeżością poranka.

Droga wiła się kręto w górę, to w dół, zapadała wąwozem głębokim między pola, to się dźwigała do ich poziomu i oczom objawiała rozległe piękno szerokiej falistej przestrzeni. Z miejsc wzniesionych oczy ogarniały wstęgę rzeki połyskliwą i bukietami drzew zdobną, falujące, różnobarwne łąny zbóż i koniczyn, osiedla ludzkie w wąwozach stulone, do glinianych, stromych zboczy przywarte ufnie. Tu i owdzie większe skupiny drzew wskazywały dwór, plebanję, bogatszy sad gospodarski, lub lasek.

— A kościół, to w jakiej wsi? zapytała Henrysia, wskazując różowy fronton, z daleka widny na tle starych drzew.

Stefka chętnie podjęła rozmowę. Opowiedziała dokładnie o kościele i plebanji, wymieniła szereg nazw wsi dojrzanych, i rozwiodła się szeroko o szkole, co się bielila ponad wsią, duża i świeżo budowana, pod czerwonym dachem.

Na łące przyjaźń zacieśniła się bardzo. Już się Henrysia nie bała mówić o tem i owem—gdy leżały obok siebie wyciągnięte na murawie, a Franek i Staszek babrali się w strumyku, mącąc patykami wodę. Bo przecież dużo ciekawych rzeczy można się było wywiedzieć i z tej i z tamtej strony. Zjadły sobie razem śniadanie, dzieląc się uczciwie chlebem i serem.

Od chałup niedalekich zaczęło dolatywać granie.

Stefka zakręciła się niespokojnie na miejscu.

— Wiesz? — powiedziała — z weselem popadają.

— Kiedy? zaraz?

— Zaraz—Stefka zawahała się chwilę. — Żebyś mi krów dojrzała, tobym skoczyła popatrzyć—poprosiła.

Henrysia kiwnęła głową.—Skocz sobie, cóż mi to szkodzi—zgodziła się chętnie.

— Chłopaków ostawię, zagonią—ale chłopaków już ani śladu nie było na łące.

Henrysia leżała na trawie, sama jedna i popatrywała to na niebo, to na krowy.

Wysoko sunęły obłoki białe i puszyste, kształt swój zmienny coraz to inaczej znacząc na głębokiem niebie.

Krowy zaś z początku ostrożnie i od niechcenia skubały owies sąsiedniego łąnu, aż czując swoją bezkarność skorzystały z pomyślnego momentu i z całą już bezczelnością zagłębiły się w gęste i dorodne zboże.

— Pewnie, że lepsza tamta trawa, od tej na łące — pomyślała z uznaniem Henrysia, pełna gospodarskiej naiwności.

Tymczasem uwagę jej zajęła konna postać, zbliżająca się po krętej drodze. Henrysia z rozkoszą śledziła płynny bieg prześlicznego konia i znakomicie harmonijne, złane z koniem ruchy jeźdźca. Wydało jej się szczytem rozkoszy tak pędzić drogą na koniu i czuć na twarzy pachnący wiatr poranny.

Nagle jeździec przyśpieszył biegu i zdaleka (uż grożąc pięścią, wołał: — nie daj, nie daj!

Henrysia osłupiała — zaś jeździec pędził wprost na krowy i dopadłszy, począł je zganiać na drogę, klnąc i grożąc.

Tak zdecydowanie wrogie w stosunku do niewinnych krów stanowisko, oburzyło Henrysię. Zerwała się z trawy i podbiegłszy do rozszalonego pana, zapytała grzecznie, ale surowo:

— Proszę pana, dlaczego pan niepokoi moje krowy?

— Co takiego?

— Pytam, dlaczego pan spędza moje krowy z łąki?

— Twoje? to są twoje krowy? — zapytał groźnie młody pan.

— Nie moje właściwie, ale ja je pasę — wyjaśniła Henrysia.

— Ty je pasiesz? Widzisz, że włożą w szkodę i zamiast je zegnać, wylegujesz się dalej na trawie?

— Po pierwsze jedzenie trawy wcale nie może im zaszkodzić, a po wtóre...

— Zaszkodzić? im, tym krowom? Mój owies nie może im zaszkodzić? Ale mnie to szkodzi, rozumiesz? To moje pole i mój owies. Nie rób głupiej tymczasem!

— Wcale się o to nie staram—z godnością odparła Henrysia—a powtórę... uśmiechnęła się z pogardliwym politowaniem—mój Boże nie rozumiem co panu szkodzi, że one trochę tego owsa zjedzą. Tyle tu tego jest, na wszystkie strony! A krów widocznie pan wcale nie ma.

Jeździec popatrzał na Henrysię z obłądnem zdumieniem, potem przyglądał jej się chwilę uważnie, aż nagle parsknął śmiechem. Uspokoiwszy się, zapytał:

— Kto ty jesteś, mała?

— To moja rzecz—z obrazą odparła Henrysia, niemile dotknięta tym warjackim śmiechem.

— No, dobrze. Ale skąd się wzięłaś i czyje to są krowy?

— Z miasta. A to są krowy mojej przyjaciółki Stefki.

— I cóż ty tu wogóle robisz u tej Stefki? mieszkasz latem, czy co?

— Wcale nie mieszkam—Henrysia w głębi duszy uważała, że niepotrzebnie się tłumaczy, ale zagrożone bezpieczeństwo krów kazało jej zachować uprzejmość—nie mieszkam, tylko tak sobie wędrujemy z tatusiem i tu zaszliśmy.

Pan zdawał się namyślać, w końcu rzekł pokojowo:

— No widzisz, a mimo wszystko te krowy były w szkodzie i ja je muszę zająć.

— A czem?—zapytała Henrysia bardzo zaciekawiona jakiego rodzaju zajęcie można dać istotom tak obojętnym i leniwym napozór jak krowy.

Pan znowu buchnął śmiechem. Wkońcu rzecz wytłumaczył jasno — krowy jadły jego owies, więc wedle praw ustalonych na wsi, on może je zabrać do swojej obory i żądać wykupu.

— Ale ich pan nie zabierze?—z niepokojem spytała Henrysia.

— No... powinienem.

Henrysia jęknęła. — O Boże! zabierze krowy i jakże się tu potem pokazać Stefce, gospodyni, ojcu!

— Mój panie, mój drogi, ja zapłacę, tylko niech ich pan nie zabiera ze sobą — prosiła ze łzami w oczach.

— No, dobrze — zgodził się na układy, a Henrysi dodało nadziei spostrzeżenie, że oczy mu się śmiały—dobrze, a czy ty masz aby pieniędzy?

— Przy sobie nie mam, ale pójde i przyniosę panu.

— A czy ci wystarczy? Bo ileż to pieniędzy mogą mieć takie małe dziewczynki?

Ciarki przeszły po Henrysi.

— Mam, w portmonetce tatusia sto złotych, dał mi je, czy to wystarczy?—zapytała zdławionym głosem.

Pan roześmiał się znowu — najwyraźniej śmiał się z byle czego, tem lepiej! Zawsze z takimi łatwiej się porozumieć. Wreszcie się uspokoił.

— No, doskonale — powiedział — mam nadzieję, że to wystarczy. Więc idź sobie teraz ze swojemi krowami do domu, a potem razem z ojcem zawędrujcie do mnie, skoro już tak sobie wędrujecie. Popatrz: będziecie szli tą drogą prosto, prosto aż do pierwszej wsi. Wejdziecie sobie furtką do parku i zgłosicie się do dworu. No cóż, dobrze?

— Niech mi pa ufa, że napewno przyjdę — gorąco zapewniła Henrysia.

Potem się rozstali. Pan ciągle się jeszcze uśmiechając odjechał w skok, Henrysia, mocno spocona, zegnała krowy na łąkę.

Kiedy powróciła Stefka, spotkały ją gorzkie wyrzuty.

Dlaczego nie wytłumaczyła dokładnie na czem polega pasanie? co jest szkoda, a co nie? jak odróżnić łąn młodego zboża od łąki i wogóle co krowom wolno, a co jest im wzbronione?

— Li... jak tam sobie pojady trochę dworskiego owsa, wielkie rzeczy! — machnęła niecierpliwie ręką Stefka.

Henrysie aż podrzuciło z oburzenia.

— Tak, ale ja teraz będę musiała płacić! — krzyknęła — a zresztą jak cudze to cudze, nie wiesz to?

— Wiedzieć to wiem, ale mało to pan ma gruntu, owa! nie zbiednieje.

Henrysia uspokoiła się i zamyśliła głęboko, ale potem wypowiedziała swoje zdanie.

— Ja też tak myślałam, ale trudno! jak cudze to nie twoje. A jeżeli jabym tobie zabrała krowę dlatego, że masz trzy, a ja żadnej, to co?

— Ale! — uśmiechnęła się Stefka — i w tym uśmiechu zawarła swoją odpowiedź — żartobliwie niedowierzającą.

łacić —
dźe, nie

pan ma

łęboko,

jak cu-
zabrała
j, to co?

w tym
żartobli-

IV

Więc szli do tego dworu o wieczornej porze
Droga ich wiodła grzbietem wzgórza, ponad
wsią i rzeką.

Niebo pełne było amarantowych i sinozło-
tych obłoków, które dzień cały przelewały się
ze wschodu na zachód.

Na tem wzgórzu więcej było nieba niż zie-
mi i ogarniało ono zewsząd, przeogromne, barw-
ne i niespokojne.

Po wschodniej stronie chmury sine były
od spodu, a wierzchołki miały ozłoczone, na
zachodzie przeciwnie — z wierzchu ciemno-
sine, od spodu oślepiały barwami złota i pur-
pury.

Jedne płynęły po niebie skłębione i gęste,
zda się ciężkie jak kamienie, inne pierzaste, lot-
ne, na podobieństwo strusich pióropuszy; a te
zaś roztrzęsione, rozpostarte, jak cienka tkanina
babiego lata.

Woda od barwy obłoków zdawała się jak
rubin płynny, a na wszelkich rzeczach, na do-

mach, drzewach, ziemi i twarzach ludzkich, kładł się różowy odbłask.

Potem się droga zniżyła i zbiegła z torem małej kolejki, przecinającej dolinę. Już rzeka została daleko, daleko za wzgórzami, tu zaś płynął tylko strumyk kręty, który rozlewał się w duży staw, u stóp parku.

Ojciec i Henrysia zatrzymali się przy stawie i przyglądali dworowi. Stał wysoko, opleciony winem i różami. Ogród w tarasach spadał ku stawom — ogród pełen strzelistych jałowców i tui, mocny powagą starych lip i kasztanów — pachnący grzędami bujnych kwiatów.

— I cóż to takiego, te ciemne kopki? — zapytała Henrysia, wskazując rząd krzewów, biegnących w półkole na brzegu najniższego tarasu,

— To są pewnie strzyżone cisy — objaśnił ojciec — ale mogłyby to być również dobrze jajka wielkanocne, nie uważasz?

Owszem, uważała. Ale patrząc w ogród, rozkochała się nagle w olbrzymim płaczącym jesionie, który ramiona boleśnie wygięte opuszczał bezradnie ku ziemi.

Weszli furtką, jak było umówione i okrążywszy dom, natknęli się na towarzystwo, które siedziało pod parasolem rozłożystego drzewa.

Były tam dwie panie, jedna starsza, druga zupełnie młoda i dwóch panów, bardzo do siebie podobnych, z których jeden, ów właśnie pogromca krów Henrysi, powstał na spotkanie, uśmiechając się przyjacielsko.

— Więc ja przyszedłam... wykupić te krowy—
wykrztusiła z trudem dziewczynka — ale pan
roześmiał się tylko i zaraz zapoznał się z oj-
cem, a potem przedstawił go paniom i swemu
sobowtórówi, który okazał się młodszym bratem.
Z rozmowy wynikło, że młoda panna jest sio-
strą, zaś starsza dama opiekunką owej siostry.

— Więc to pan tak sobie wędruje po świe-
cie ze swoją córeczką? — dziwiła się starsza
dama.

Ojciec całą drogę biedził się, coby tu wy-
myślić, aby upozorować wędrownkę, nadać jej
jakiś cel przyzwoity?

— Wezmą nas za parę warjatów, Henrysiu.
Tak, tak, moja córko—mówił, smętnie potrząsa-
jąc głową.—Ludzie na wsi są bardzo rozsądni
i nie uznają dzikich pomysłów. Uważają, że je-
den jest tylko godny i dostojny sposób życia—
właśnie ich własny.

Wkońcu uradzono, że to doktor kazał ojcu
bardzo dużo chodzić, ale teraz, gdy przyszło co
do czego, kiedy już trzeba było gładko skłamać,
ojciec powiedział prawdę.

Henrysię trochę żenowała taka nieumiejęt-
ność kłamania. Sama nie praktykowała kłam-
stwa nigdy, ale ojciec, dorosły i doświadczony,
powinienby wszystko potrafić.

Potem jedzono kolację w dużym, czarnymi
portretami obwieszonym pokoju. Po kolacji star-
szy brat poszedł wydawać dyspozycje gospo-
darskie na dzień jutrzejszy, dama do towarzy-

stwa rozpoczęła z ojcem literacką dyskusję, młodszy brat nastawił radjo i rozpaczliwie zmagał się z falami, a panna Zosia wzięła Henrysię za rękę i powiedziała tajemniczo:

— Pójdziemy do parku—księżyc wschodzi.
Poszły.

W alei lipowej cicho było i uroczyście.

— Czy ty się boisz?—zapytała panienka.

— Nie—stanowczo zaprzeczyła Henrysia.

— Niczego?

— Niczego.

— No dobrze, ale gdybym ci opowiedziała o duchach? — głos panienki był dziwnie jasny i jak gdyby przezroczysty.

— Nie bałabym się—powtórzyła Henrysia.—
Nie wierzę w duchy.

— No więc...ale gdybyś się bała, to powiedz...

Zaczął się od tego, że było to sto czternaście lat temu; Henrysia mocna w historii, zaraz uprzytomniła sobie epokę.

— Przy końcu Napoleona—wtrąciła.

Panienka umilkła na chwilę.

— No tak, naturalnie, bo to jest właśnie historia o księciu Józefie.

— W tym domu, widzisz, w tym samym, mieszkała wtedy taka piękna panna, która się nazywała Izabella.

W domu tej panny wszyscy wierzyli w cesarza Aleksandra i nie cierpieli Napoleona. O księciu Józefie mówili: „ten bawidamek, który zgubi Polskę!\" Więc panna Izabella, która nie była

małdrzejsza od innych, myślała często o księciu jako o bawidamku i modliła się za Polskę.

A właśnie już wtedy wojska Napoleona szły pod Lipsk, a książę Józef wybierał się w swoją ostatnią podróż.

Panna Izabella, któregoś wieczora, odmawiając różaniec, spacerowała po tej właśnie alei, a księżyc wschodził. Tu, w tem miejscu, na którym teraz stoimy i ona sobie przystanęła, a wtedy od tamtego końca alei zaczęły się zbliżać trzy postacie.—

Henrysię przebiegł lekki dreszczyk. Głos panny Zosi robił się coraz przezroczystszy.

— Kiedy już były tuż przed panną — trzy wysokie postacie, jedna czarna, druga biała, a trzecia purpurowa — wszystkie trzy załamały ręce i krzyknęły pokolei:

Pierwsza — Lipsk, Lipsk, Lipsk,

druga — Elstera, Elstera, Elstera,

trzecia — zginie, zginie, zginie!

potem wszystkie trzy zaplotły dłonie ponad głowę, aż zatrzeszczały kości i rozplnęły się w powietrzu. I już nikogo nie było w alei — tak jak teraz.

Panna Zosia zrobiła pauzę — Henrysia westchnęła głęboko i z trudem przełknęła ślinę.

— Otóż Izabella odrazu wiedziała, że nie idzie tu o nikogo innego, tylko o księcia.

— Skąd wiedziała? — mruknęła niedowierzając Henrysia.

— Właśnie to było najdziwniejsze, że nie rozumiejąc dlaczego, właśnie zupełnie była pewna. Zaraz poszła do swego pokoju (ja tam teraz

mieszkam), zawołała do siebie brata, który ją ponad życie kochał i wszystko mu opowiedziała.

W czasie tego opowiadania uderzyła ich w samo serce prawda o bohaterskim życiu księcia i o ich własnej biernej bezczynności.

Więc nie zwlekając ani chwili dłużej, panna Izabella przebrała się w ubranie brata i oboje poszli do stajen. Powiedzieli furmanom, że chcą pojechać na spacer, bo noc księżycowa. Wzięli najlepsze konie i pojechali.

W pierwszym dużem mieście panna sprzedała swój sznurek pereł i jechali dalej. Dowiedzieli się dobrze, gdzie jest ten Lipsk i przekradali się bocznymi drogami, bo trakty pełne były wojska takiego i siakiego.

Po drodze rozmawiali o tem, że łatwo krytykować i złorzeczyć, siedząc w zacisznym domu przed kominkiem, ale tułać się po szerokiej ziemi od śnieżnych pól Moskwy, aż po śmiertelne wody Elstery, ale brać na barki odpowiedzialność za naród cały i w męce niepewności dni pędzić i ofiary czyniąc dla zbawienia kraju, własnymi oczami oglądać upadek—oto jest życie męczeńskie i świetne!

W drugim większem mieście brat sprzedał spinki brylantowe.

I mówili o tem, że czekać i zdawać się na los i na opiekę Opatrzności nie jest cnotą — tylko grzechem. I mówili o tem, że z każdego wysiłku, choćby poszedł na marne, wykwita kiedyś prawda i sprawiedliwość.

Kiedy dotarli do Lipska, już był drugi dzień bitwy. I dopiero wtenczas zrozumieli, że na nic się nie przyda uprzedzić księcia o jego losie, bo i tak już na karcie ofiarnej wypisał swoje imię.

Więc już oboje tylko wstąpili do jego pułku, nie poto, żeby zabijać, ale żeby podzielić los tych wszystkich, którzy z miłości dla kraju przybyli tutaj na swoją śmierć i niedolę.

A trzeciego dnia bitwy, kiedy przy zwyciężonym Napoleonie pozostała tylko wierność księżęca, kiedy cesarz powiedział do niego te słowa bez wartości już i znaczenia: „Naprzód królu Polski!” on, król Polski nie z pomazania napoleonowego, a z królewskiej mocy ducha — poraz ostatni zadawał sobie pytanie najważniejsze: Czy tak czynił jak trzeba było?

Wtenczas to znalazła się przy nim Izabella i jej brat. Izabella powiedziała:

— Każdy wysiłek, zrodzony z miłości, ma wartość wieczną.

Brat powiedział:

— Ten wygrywa przyszłość, który był w zgodzie ze swoją prawdą i sumieniem.

Księżę uśmiechnął się do nich uśmiechem wyzwolenia i skoczył z koniem do rzeki, która obmyła krew, wyciekającą z ran — zimną, śmiertelną wodą. —

Szły czas jakiś w milczeniu. Trawniki srebrzyły się w poświacie księżycowej.

— A teraz ona, ta panna, wraca tutaj niektórych nocy — powiedziała panna Zosia szep-



tem—i chodzi po pokojach, po ogrodzie, a w rękach trzyma ostatni uśmiech księcia Józefa.

Henrysia otrząsnęła się energicznie.

— Skąd ty to wiesz, skąd pani to wie? — zawołała zbyt głośno i przeraziła się własnego głosu.— Skąd pani może wiedzieć, co ona mówiła z bratem i co powiedziała księciu, i wogóle! Przecież oni napewno zginęli w tej strasznej bitwie?

— Właśnie zginęli.

— No więc?

— Więc to przecież ja byłam. Ja i mój brat, ten młodszy — powiedziała panna Zosia przenikliwym głosem.

Henrysia potrząsnęła jej ręką ze złością.

— Tak, tak. W sali jadalnej wisi jej portret nad drzwiami salonu. Przypatrzyć się dobrze, przypatrzyć się...

Henrysia nie poczuła kiedy wysunęła się z jej palców dłoń panienki, to tylko widziała teraz rozszerzonymi z przerażenia oczami, że biała jej postać oddala się i oddala w perspektywie alei, pociętej smugami księżycowego światła.

I nagle strachem zdjęta nawróciła i pomknęła do domu znacznie prędzej, niż w zwykłych okolicznościach zwykła biegać.

Paru skokami przemierzyła werandę i sien ciemną. Dopiero u zamkniętych drzwi sali jadalnej, przez które szparami sączyło się światło i dobiegał gwar głosów, przystanęła zdyszana.

Nie śmiała wejść... bo jeżeli przy stole z innymi siedzi prawdziwa panna Zosia — jeśli jest w tym pokoju!... Wkońcu nacisnęła klamkę i pchnęła drzwi — w tejże samej chwili przeciwniegiem drzwiami od tarasu wchodziła panna Zosia.

Nie patrząc na nią, Henrysia stanęła za fotelem ojca. Jeszcze jedno niebezpieczeństwo grozi — panna Zosia może zapytać — gdzieś się podziała po kolacji Henrysiu, szukałam ciebie wszędzie — i jeżeli tak zapyta, to tamta... w alei...

Ale nie zapytała.

Już się wszyscy rozchodzili spać.

Ukradkiem spojrzała Henrysia na portret ponad drzwiami. Tło było zczerniałe, ale na tej czerni tem wyraźniej odbijała się twarz panny Zosi o zbyt długich oczach pod ciężką powieką.

W nocy obudził Henrysię szelest na korytarzu. Nie czekając ani chwili, wyskoczyła z łóżka i wpadła do pokoju ojca. Jeszcze nie spał. Nie mógł zrozumieć dlaczego jego odważna córka boi się po raz pierwszy w życiu.

— Cóż cię raptem ugryzło? — pytał z zaciękawieniem. — Bać się? ciekaw jestem poci? W niebezpieczeństwie to wcale nie pomaga, a na codzień niema powodu. No, co się stało?

— Ludzie na wsi wcale nie są tacy rozsądni, tatusiu, jak mówiłeś — poskarżyła się Henryka i opowiedziała mu całe zdarzenie.

— Nie widzę w tem opowiadaniu nic strasznego—zdecydował ojciec.—Owszem, to bardzo ładna historia.

— Tak, ale jeżeli weźmiesz pod uwagę, że panna Zosia to ta sama! No, pomyśl tylko?

Ojciec pomyślał.

— Nawet—rzekł wkońcu—nawet w takim razie to wszystko jest tylko bardzo ciekawe i wzruszające. Idź spać, Henrysiu.

rys

ba

kre

się

ple

rac

sze

zdr

wie

sza

łak

dzo

i o

jów

strasz-
bardzo

gę, że
ko?

takim
kawe

V

Któregoś dnia wycieczki rzekł ojciec do Henrysi:

— Odeszliśmy bardzo daleko od rzeki, trzeba do niej wrócić, moja córko.

Oboje byli zdania, że woda w rzece, jak krew w tętnicy, jest rytmem życia.

Po szeregu burz, w czasie których chronić się musieli, to po wsiach, to w szkole albo na plebanji — dzień był nareszcie pogodny i gorący.

Ile razy droga wywiodła wędrowników na szczyt wzgórza—uśmiechem przyjacielskim pozdrowiała ich z oddali połyskująca rzeka, a czem więcej się do niej zbliżali, tem szersza i weselsza rozlewała się przed ich oczyma.

Gdy wyszli z niewielkiego lasu na zieloną łakę brzegu—wpadli w sam środek licznej i bardzo hałaśliwej gromady chłopców i dziewcząt.

Henrysia wprawmem okiem zbadała sytuację i oceniła ją jednym technicznym słowem—Majówka.

Tak, nie ulegało już żadnej wątpliwości, że była to najformalniejsza majówka. Liczne koszyki z prowiantami, białe sukienki dziewczynek, duży zapal organizacyjny po skautowsku ubranych chłopców, dowodziły tego niezbicie. Starszych osób było niewiele, ale przecież dawała się spostrzedz bardzo wesoła osoba średniej tuszy, ze srebrnym woreczkiem w rękę, i ogromnie do niej podobny starszy pan, w jasnej kurtce z czeczunczy.

Towarzystwo to widocznie niedawno wysiadło z dwu motorówek, które odpływały teraz w kierunku miasta, posyłając na fale ochoczy stukot swych motorów.

— Jabym radził w lasku—wybijał się z gwaru donośny głos.

— Nie, nie, nie. Nad rzeką.

— Słońce.

— Wcale dziś nie zabardzo gorąco!

— Lody się stopią.

— Wanda, nie wrzeszcz jak pentarka.

— Jabym radził w lasku...

Ale już kilka bardziej przedsiębiorczych jednostek rozścielało białe obrusy na łące, tuż nad wodą.

Ojciec i Henrysia ruszyli wolniutko w swoją drogę, tylko Bobek ociągał się nieco przy koszykach, aż Henrysia musiała ostro przywołać go do porządku.

— Możeby zaprosić tego pana z dziewczynką? Jacyś bardzo przyjemni! — zawołała nagle wesoła pani.

— Naturalnie! Hop, hop, proszę zaczekać, niech pan zaczeka, proszę pana!—i cała gromada białych dziewczynek i zielonych chłopców opadła ojca i Henrysię ze wszystkich stron.

Dziewczynka ciemnowłosa, bardzo rumiana i mocna, wywalczyła sobie w zgiełku prawo jeneralnego przedstawicielstwa gromady i powiedziała uprzejmie.

— Bardzo, bardzo prosimy, żeby państwo zechcieli z nami zjeść podwieczorek.

— Przedstaw się, przedstaw—doradziło jej kilka głosów.

— Cicho bądźcie.

— Moi rodzice urządzili właśnie wycieczkę z podwieczorkiem, bo dziś są imieniny mojej siostry, Helenki.

— To wszystko niepotrzebne, potem opowiesz, teraz tylko zapraszaj.

— O jej! jacyście nieznosni! Ogromnie państwa zapraszamy i nasi rodzice też.

Henrysia ścisnęła rękę ojca—ogromną miała ochotę przyjąć zaprosiny, ale gdyby to od niej zależało, odmówiłaby. Zupełnie obce osoby! to nie wypada! Henrysia bardzo była wrażliwa na tym punkcie i często jej się zdawało, że starsze osoby popełniają nietakty.

A ojciec zgodził się odrazu. Witał się z rodzicami rumianej dziewczynki jak ze znajomymi od stu lat.

— Ach jak to przyjemnie, że się pan zgodził — cieszyła się pani. — Odrazu spostrzeg-

łam, że pan jest bardzo miły, nieprawda, Dominiku?

— Ja także, Julciu—równie serdecznie radowałam się pan w jasnej kurtce. — Odrazu pomyślałem sobie: to jakiś bardzo miły pan, z bardzo miłą córeczką.

Henrysię złapała za rękę dziewczynka o długim warkoczu, bardzo wysoka i chuda i wciągnęła ją w sam środek zamieszania.

— Polecam ci ten koszyk, tam są owoce, nie dopuść do niego chłopców bo wszystko wyjedzą. Ja właśnie jestem ta Helenka, o której mówiła Wanda. Wogóle jest nas jeszcze dwie, to razem cztery siostry. Widzisz ta mała czarooka to Anulka, najmłodsza, a ta chuda, poważna, to Jadwisia, najstarsza. Tamte dwie to nasze kuzynki, a chłopcy to kuzyni i przyjaciele. Siądźmy sobie tutaj, nic nie będziemy robiły, a nikt się tego nie domysli. To jest, widzisz, mój system, siadam w miejscu widocznem i bardzo dużo kwiczę—wszyscy myślą, że ja jedna coś robię—roześmiała się jak szalona.

Chłopcy przynosili z lasku suche gałęzie i rozpalali ognisko. Dziewczynki ustawiały na obrusie liczne półmischki, ryneczki, dzbanki, butelki.

— Niepojęta rzecz, jak oni wszyscy wrzeszczą—trzepała dalej Helenka.—Zresztą nasza rodzina cała tak. Jak jest czasem zjazd rodzinny, to, mówię ci, można zwarzować. Zupełnie jak na czarnej giełdzie.

Henryka spojrzała z zaciekawieniem.

— A byłaś kiedy na czarnej giełdzie?—zapytała pełna podziwu.

— Nie, ale widziałam w kinie. Ani jednego milczącego wuja niema u nas, kręcą się i cieszą jak gdyby jeden z członków rodziny został prezydentem i wszystkim obiecał teki ministerjalne. A tymczasem cóż? Tatuś jest aptekarzem a wujowie to nawet nic wielkiego, jeden na poczcie, drugi w fabryce, trzeci ma sklepik. Jurek, ani się waży jak wszyscy będą jedli, to i ty dostaniesz.

— Błagam cię, żyrafo oswojona... upadam z pragnienia, jak Agar na puszczy. Pracowałem, jak murzyn w plantacji cukru.

— Wynoś się. Co sobie ta panienka o tobie pomyśli?

— Czy będziemy najpierw jedli, czy pierw będzie przedstawienie?

— Mamusiu, co mama woli? przedewszystkiem nakarmić ciało czy duszę?

— Uprzedzam — pokarm duchowy jest z kuchni Słowackiego, podczas kiedy cielesny wyszedł z rąk nadobnych czterech sióstr. Ja dałbym pierwszeństwo wieszczowi, zważywszy...

— Zanim zważysz, wierszokleto, orędowniku wielkiej sztuki, muchy powpadają do kawy, mrówki zajmą się pracowicie tortem, a z lodów zostanie miłe wspomnienie i niewyraźna ciecz.

— Trzeba jeść — powiedziała krótko i stanowczo pani.

Jedzono z zapałem i energją. Z początku Henrysia starała się być bardzo wytworną i tylko od niechcenia pojadała coś nie coś, choć oczy jej się śmiały do dawno niewidzianych przysmaków, ale wkrótce pokonała ją ogólna atmosfera prostoty. Było jasne, że nikt w tem towarzystwie nie oceni jej powściągliwości. Przytem Helenka ostrzegła przyjacielsko: — Jedz prędzej, bo wkrótce nic nie zostanie.

Rzeczywiście, wkrótce nic nie zostało, oprócz koszyka owoców, które zachowano na powrotną drogę.

Wtedy rozpoczęła się druga część uroczystości.

Wysoki chłopiec, nazwany przez Wandę wierszokletą, wypowiedział: „Smutno mi Boże“, czego wesoła rodzina wysłuchiwała z takim wzruszeniem, że aż sama pani musiała uciec się do pomocy chustki do nosa.

Potem Anulka, dygnawszy krótko i niedbale, wytrzepała jednym tchem i z wyraźnem lekceważeniem znaków przestankowych: „Niechaj mnie Zosia o wiersze nie prosi“.

— Anulka nie ma zdolności do deklamacji — westchnęła matka, szukając współczucia u ojca Henrysi — jak pan myśli, czy to się da wyrobić?

— A czy to konieczne, proszę pani? — zapytał ojciec.

Zacna osoba spojrzała na niego ze zgorszeniem.

— Naturalnie—wykrzyknęła bez namysłu—
ma się rozumieć, że powinna lubić i umieć de-
klamować. Mój drogi panie, ładnieby życie wy-
glądało, gdyby się nie kochało wierszy! Także
pomysł! No, niech pan sobie wyobrazi — nic
tylko apteka i kuchnia.

Musiała urwać, bo już Wanda mówiła prze-
jętym głosem: „Piramidy, czy wy znacie...?” —
więc zmieniła się cała w słuch, ściskając w rękę
swoją srebrną, plecioną torebkę. Wanda dekla-
mowała ze wzruszeniem i zapalem, ale piękno
rozśpiewanego słowa, w zestawieniu z błyskiem
fali, rozdzwonioną ciszą łąki i nieba, objawiło
się Henrysi dopiero, gdy zaczął mówić jeden
z chłopców. Bo on właśnie nie deklamował,
a mówił spokojnie, bez żadnej przesady, a z wielką
mocą i uczuciem.

— „Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem
z wami...” — Matka czterech dziewczynek zno-
wu musiała sięgnąć po chusteczkę. — Ach,—
westchnęła — i pan się pyta czy to konieczne?
Przecież ten Słowacki tak samo żył, jak my,
a kiedy o tem mówi, to się rozumie, że życie
naprawdę jest ładne, tylko trzeba o tem po-
myśleć. I czyżby człowiek mógł tak szczerze
śmiać się potem, gdyby się nie wypłakał przy
tych wierszach.

Henrysia wodziła oczami po zebranych —
wszyscy, począwszy od pana, a skończywszy
na małej, puciołowatej Zosi, słuchali z zapartym
oddechem. Jedna tylko Anielka nudziła się wi-

dać na potęgę, ale snąć zaprawiona już do takich poetyckich produkcji, zносиła je dosyć spokojnie, ciągnąc zlekka Bobisia za uszy.

— Teraz się już nareszcie będziemy bawić— wygłosiła z westchnieniem ulgi, gdy uroczystość zakończyła się sceną z Balladyny, odegraną przez Jadwisie, Wandę i dwu młodych kuzynków.

— W co się będziemy bawić?

— W polowanie, w polowanie!— że okrzyk był jednogłosny, na tem stanęło. Ale rozpoczęła się natychmiast zażarta walka o stanowisko lisa.

Henrysia nie знаła tej gry, gwałtowność kłótni jednak wyrobiła w niej przekonanie, że urząd lisa był ogromnie korzystny i zaszczytny, te też narówni z innymi domagała się tej godności kategorycznie.

— Ja jestem tego zdania, że gościewi należy ustąpić — przekrzyczała innych Helenka.

Nastała chwila ciszy, pełna wahania. — No tak — westchnęła Wanda, ale jeden z chłopców zaprotestował — gość i tak ma już dosyć przyjemności. że jest gościem, no nie?

Zwymyślano go, poczem większość obrała lisem Henrysię i poleciła jej, by sobie naznaczyła towarzysza.

— Ja... ja właściwie nie znam tej gry — przyznała się dziewczynka, ale na towarzysza mogę wybrać Helenkę.

Objaśniono ją chóralnie i tak chaotycznie, że nie pozostało jej nic innego jak zdać się na doświadczenie Helenki.

— Czy masz zegarek? Nie, no to ja biorę od Jadwisi. Słuchajcie, jest godzina szósta i pół, o szóstej czterdzieści możecie ruszać, dowidzenia.

Wzięły się za rękę i pobiegły do lasku.

Teraz Helenka opowiedziała o co idzie. Lisy mają dziesięć minut czasu na schowanie się. Po ich upływie myśliwi ruszają naprzód, rozstawieni co dwadzieścia kroków. Jeżeli w ciągu następnych dziesięciu minut nie dostrzegą lisa, lis musi oznajmić się gwizdem, jeśli dostrzegą, sami gwizdzą i rozpoczyna się polowanie. Meta jest w miejscu startu. Trudność dla myśliwych polega na tem, że nie wolno im się w gonitwie zetknąć, gdyż ci, którzy się bezpośrednio zderzą, wypadają z gry, to krępuje ich rozpęd i ruchy, nie wolno im również czyhać na zwierzę przy mecie. Pozatem lisy do trzech razy, mają prawo wyrwać się z rąk myśliwego i uciekać dalej. Tylko jeden łowca ma prawo trzymać lisa.

— To wszystko jedno — powiedziała Henrysia — ich jest czternaścioro, a nas dwie, napewno złapią!

— Nie koniecznie. Jeżeli dwu albo trzech razem cię goni niema niebezpieczeństwa, bo prawie zawsze razem cię dopadną i razem odskoczą, a wtedy hajda w step. Radzę ci przytem, kieruj się na słabszych, jak cię taki złapie, idź sobie z nim spokojnie, przed samą metą wyrwij się i już. Tylko, niestety, oni już znają ten sposób i zawsze znajdzie się po drodze jakiś osiołek, który każe malcowi puścić i sam cię złapie,

ale przy tej zamianie masz szansę wymknięcia się.

Za laskiem biegła szeroka droga. Z prawej strony bielila się wieś, z lewej falował łąn pszeniczny. Za drogą w niewielkiej odległości widniał stary ogród, otoczony murem.

— Chodźmy do wsi, tam łatwo będzie się schować — poradziła Henrysia.

— Nie wolno. We wsiach ani domach nie wolno. Zostaje nam do wyboru lasek, albo tamten ogród, ale jest, niestety, otoczony murem, widocznie nie wolno tam wchodzić.

— Ech! — Henrysia bardzo była przedsiębiorcza i gardziła niebezpieczeństwem, od ojca nauczyła się przytem zaufania do ludzi — ech! nic nam nie będzie, jeśli wejdziemy. W razie czego wytłumaczymy o co idzie. Zresztą widzisz, to nie jest sad, nie posadzą nas o wyprawę na owoce. Lećmy, bo już późno.

Wskok przebiegły rżysko, dzielące ogród od drogi. Okazało się zbliżka, że mur już jest mocno szarpnięty zębem czasu i bardzo łatwy do przebycia. W parę sekund już obie dziewczynki stały po przeciwległej jego stronie, w wysokiej trawie.

Pierwsza spostrzegła się Henrysia.

— To cmentarz! — krzyknęła z przerażeniem.

Helenka rozejrzała się dokoła. Rzeczywiście był to cmentarz już bardzo stary i całkowicie zaniedbany. Trawa porastała jednolicie mogiły i ścieżki, że już tylko nierówność gruntu i po-

chylone krzyże znaczyły miejsca grobów. Wielkie drzewa rozrośnięte szeroko, brzozy białe o listeczkach drgających jak plamy świetlne na wodzie, lipy słodko pachnące, akacje wyniosłe, świerki obojętne i kasztany rozłożyste, otaczały opuszczone groby ramionami zieleni. Ptaki aż się zanosiły śpiewem u góry, trawa aż drżała od sykania koników polnych, motyli całe eskadry przelatywały w gorącym, pachnącem powietrzu.

Widać było, że o tym cmentarzu już nikt z ludzi nie pamięta. Życie się tu panoszyło nowe, nad wszelki wyraz radosne i smętne — przyrody samej sobie tylko rozkwitłej.

— No więc cóż? — niepewnie mruknęła Helenka.

Henrysia szepnęła: — Gdy gwizdną, szparą w murze zobaczymy którądy najłatwiej będzie można uciec. A oni pewnie tu nie wejdą.

— E... kto wie?

— Oni nie potrzebują się śpieszyć, więc uważają, że to cmentarz. Tylko... słuchaj, Helenko, może nie powinnyśmy się chować na cmentarzu?

Umilkły na długą chwilę i z poszumy liści, z ptaszych śpiewów, z blasku i barwy mnogich kwiatów — wyniosły w duszach pewność, że już nie było na tym cmentarzu umarłych. Że już ziemia miłosierna przygarnęła swoje dzieci uściskiem najszczerzej miłości i życiu oddała na nowo ich ciała odrodzone.

— Możemy tu usiąść i czekać pocichutku — powiedziała wkońcu Helenka. I nawet pomódl-

my się trochę. Tu jest bardzo ładnie i wcale się czegoś nie boję.

Henrysia chciała odpowiedzieć gdy nagle od lasu dobiegły głosy. Chwyciły się więc za ręce i błyskawicznie zaszyły w gęstwą krzewów koło kapliczki.

Głosy zbliżały się, liczne i znajome. Za chwilę już rozbrzmiewały pod murem cmentarza. Myśliwi okrażyli go dookoła i pełni zawodu naradzali się kłótliwie.

— Wracajmy do lasku.

— Dalej pójść nie mogły, bo zboże.

— Może w zbożu?

— Wiesz przecie, że nie wolno!

— Z taką Helenką to nigdy nie wiadomo.

— Wiadomo. Są w lasku na pewniaka.

— Za dwie minuty termin. Gwizdną i tyle ich będziemy widzieć.

— Do lasku, galopa! — skomenderowała Wanda i pognali.

— No chwała Bogu — szepnęła Helenka, wypuszczając rękę Henrysi, którą ścisnęła kurczowo.

— Za minutę... — urwała i nastawiła ucha. Jakiś głos lekki jak pajęczyna i jak pajęczyna chwytliwy, doleciał z za ściany kapliczki.

Znowu uchwyciły się za ręce.

— ...Błogosław, duszo moja, Panu...

— To niemożliwe... — drżącym głosem wyszeptała Helenka.

—...i wszystko, co jest we mnie, świętemu
Imieniu Jego...

Henrysia wstała.

— Gdzie ty idziesz, stój.

— Trzeba zobaczyć...

— Proszę cię, proszę cię, nie odchodź! —
błagała Helenka.

— No to chodź ze mną!

— Za nic, za nic na świeciel...

— ...ratuje On twe życie od śmierci, nasycą
On dobrami pragnienia twoje...

— Ktoś się modli.

— Nikogo nie było, nikogo! przecież sama
widziałas, że nikogo nie było na cmentarzu.
Uciekajmy!

Właściwie to i Henrysia poczuła ochotę do
ucieczki, ale nie śmiała już teraz ruszyć się
z miejsca.

— ...człowiek, dni jego jako trawa, i jako kwiat
polny, tak przekwita on... i nie rozpoznasz
miejsca, kędy był.

W pamięci Henrysi stała ostro opowieść
panny Zosi, jej oczy jasne i głos przezroczysty.

— ...i wszystko, jako proch, zwierteje...

Helenka uczyniła heroiczny wysiłek, dała susa
z gęstwiny, dopadła muru i dopiero na jego
szczytce obejrzała się za Henrysią.

— Jeżeli panna Izabella-Zosia nie przeraziła
się trzech zjaw nocy, jeżeli w ślad za tem zdo-
była się na czyn bohaterski, to ja także się zdo-

będę! — zdecydowała się nagle Henrysia i krokiem pewnym weszła do kapliczki.

Na jej środku, twarzą ku drzwiom, klęczała postać. Dwie zupełnie żółte, jak z wosku ręce, rozpostarte, wyciąga ku niebu. Oczy tak jasne, że prawie białe, patrzyły z twarzyczki wyschłej, zmarszczkami pokreślonej tak, że wyglądała jak skrzydło motyla. Z oczu płynęły dwie strugi łez spokojnych, a twarz raczej zachwyt wyrażała, niż rozpacz.

Henrysia już nie bała się wcale. Powiedziała cichutko:

— Wiem, że pani jest duchem, ale ja jestem żywa. Proszę mi powiedzieć czego pani potrzeba. Ja wszystko zrobię.

Klęcząca postać widocznie kończyła modlitwę, bo, przeżegnawszy się, potrzykroć ucałowała kamienną podłogę kapliczki.

Przez wybite okienko wleciała jaskółka i znikła w gniazdku, ulepionem nad ołtarzem.

— Przyszła tu pomiędzy umarłych mała dziewczynka — powiedziała postać, leciutko wstając z klęzek.

— Przyszłam — Henrysia skinęła głową — i proszę pani, co mam robić?

— Żyj sobie na słoneczku, dzieciątko — uśmiechnęła się staruszka, a uśmiech jej był naprawdę anielski.

— Ja sobie żyję, ale co mogłabym dla pani zrobić, czego pani potrzeba do zbawienia?

Staruszka kiwała głową, błędząc oczami po niebie i koronach drzew. — Ho, ho — powiedziała — łaski Bożej, łaski Jezusowej i śmierci! — do serca Henrysi zakradło się zwątpienie. — Widzisz, dzieciątko, już wszyscy tu leżą, już nawet i ten cmentarz za stary dla was, a mnie jeszcze Pan Jezusik nie woła do siebie. Ale zawoła, zawoła! Ufaj duszo ludzka śmierci. Nie zapomni o tobie!

Już Henrysia nie miała wątpliwości. Podeszła i pocałowała rękę staruszki.

— Przepraszam — powiedziała — ja myślałam, że pani jest dusza pokutująca.

Ale staruszka zdawała się nie słyszeć tego tłumaczenia. Schodziła powolutku, po mchem osnutych stopniach kapliczki i szeptała do siebie jakieś słowa cichutkie i jasne, jak przesączone poprzez liście światła słoneczne, na trawie zarosniętych mogił.

* * *

Lisa schwycił chłopiec z rozwichrzoną czupryną, ale straciło to znaczenie wobec opowieści dziewczynek. Helenka i Henrysia nie starały się ubarwić zdarzenia, mimo to wszystko wyszło jakoś nieprawdopodobnie i część towarzystwa zachowała się dość sceptycznie.

— Rozumiem — rzekł chłopiec — to dlatego dążyście się złapać! Inaczej napewno byście uciekły, prawda? Z temi dziewczynkami to zawsze tak.

I nie można mu było wytłumaczyć!

VI

Bobek niejednokrotnie podkreślał swoje stanowisko niezbyt przychylne w stosunku do tej trochę dziwacznej wycieczki swoich państwa, ale ze smutkiem należy zaznaczyć, że nikt się nie liczył z jego zdaniem.

Rzewna tęsknota ogarniała Bobka na wspomnienie kucharki Bronisławy, trochę surowej, lecz jakże utalentowanej w swoim kuchennym zakresie. Wzdychał ciężko, gdy jakiś przedmiot obcy przypomniawszy mu kształtem lub kolorem ukochaną poduszkę pod piecem.

Nie mógł pojąć jaka to konieczność wroga zmusza ludzi, te istoty wspaniałe i dziwne, do zamienienia ciszy i spokoju własnego mieszkania, na skwar, hałas i kurz szerokiego gościńca.

Co nocy inne łóżko! Co dnia inna miska z jadłem i to nieraz z jakim jadłem, pożał się Boże!

Bobek był pieskiem delikatnym i pełnym niepospolitych zalet. Subtelność i wrażliwość jego graniczyły z przeczuleniem. Więc już Bobek nie czuł potrzeby szerokich przestrzeni, nie rozumiał rozkoszy wolnego pędu, nie wiedział jak to pachnie i przewiewa nawskroś, wiatr z końca świata, wiatr z pól i lasów, aż z nad morza!

Bobek nie umiałby już bronić się zębami przed ręką wroga, ani srogim warknięciem zaznaczyć swojej pieskiej godności. Można powiedzieć, że z trzech istot: pana, pani i psa, to pies był najdelikatniejszy i najbardziej zniewieściały.

To też o ile pan i pani czuli się na szerokiej drodze świata pełni sił, radości i zapału, o tyle Bobek tęsknił i podupadał na duchu.

Bardzo być może, że najwięcej dolegała Bobisiowi ciągła zmiana otoczenia. Zaledwie, pokonawszy wrodzoną nieufność, przyzwyczaił się do ludzi, z którymi los zetknął jego właścicieli, už ruszali dalej i wystawiali go na nowe znomości. A Bobek drżał pod dotknięciem obcej dłoni.

Nieraz przychodziło do głowy Bobkowi, że przecież istniała możliwość zrezygnowania z wycieczki i powrotu pod skrzydło Bronisławy. — Dwie się jednak zjawiały przeszkody: droga daleka, nieznana, i wierność psiego serca. Bobek miewał jeszcze chwile złudzenia, że broni swoich państwa przed wrogiem. Kiedy obszczekiwał zawzięcie jakąś postać podejrzaną, kiedy szedł śladami swej pani, w sercu jego odżywały rycerskie tradycje psiego pokolenia. I zdawało mu się, że gdyby stanął wobec sytuacji, z której nie ma wyjścia prócz śmierci lub zdrady, wybrałby śmierć. Na razie na ołtarzu przyjaźni składał tylko drobne, ale niezliczone udręki.

Znaną jest rzeczą, że łatwiej jest zdobyć się na wielki jednorazowy wysiłek w imię swoich

ideałów, niżeli w trosce dnia powszedniego zwalczać małe przeciwności.

To też cierpliwość Bobka była na wyczerpaniu.

Dnia poprzedniego do cna już Bobisiowi zbrzydło towarzystwo bandy rozhukanych dzieci, pośród których pan i panienka zdawali się w swoim żywiole. Nie zliczyć, ile razy pociągnięto go za ucho, kazano mu tańczyć, służyć, gonić — wszystko rzeczy wysoce niesmaczne, jeśli pochodzą od niepowołanych osób. Z panienką wiele razy Bobek ochotnie wyczyniał podobne sztuczki, wcale nie odczuwając ujmy na honorze. Panienka niejednokrotnie kładła mu na karku smaczny kąsek i kazała go szukać — wychwytywała mu z przed nosa kostkę kruchą i zmuszała, aby o nią prosił długim i cierpliwym służeniem, umieszczała ciastko na Bobisiowej głowie i dawała znak łaski dopiero po chwili męczącego wyczekiwania. Za to wszystko Bobek szanował i cenił panienkę, pana kochał uczuciem czystym i trochę go lekceważył za zbytnią łagodność i czułość.

Po dręczącym chaosie i wysiłku dnia wczorajszego, po serdecznem rozstaniu z majówkowym towarzystwem noc spędzono na plebanji. Przed Bobkiem otwarło się niebo.

Spokój, cisza, miły zapach smacznych potraw, miękie kanapy! Okrzętna gospodyni w rodzaju Bronisławy — i żadnych szorstkich dłoni — karesów — i żadnych groźb i krzyków! Bobek

chodził delikatnie po czystych, surowych w swej prostocie i porządku pokojach, i oddychał z ulgą. Spał na poduszce, którą proboszcz własnoręcznie położył dla niego przy drzwiach w pokoju gościnnym. Jadł kości kurcząt i kaszkę smażoną na maśle.

Ale przyszedł dzień następny — fatalny dzień!

Po południu, w porze podwieczorkowej, pan i panienka zaczęli się zachowywać tak, jakgdyby mieli zamiar ruszyć w dalszą drogę.

Bobis jeszcze własnym oczom nie wierzył, choć dojrzał już plecak na ramionach panienki, choć już kapelusz znalazł się w rękach pana, choć już proboszcz i gospodyni od ganku żegnali ich przyjaznymi głosami.

— No, Bobek, czego czekasz? — zawołała panienka już z drogi. — Bobek, tul

Pies rozpaczliwie zakręcił się na miejscu, skoczył do ręki proboszcza, trącił kolana gospodyni nosem i stanął jak wryty. Chwilę patrzył nieprzytomnie na drogę, aż nagle porwał się i doznał państwa.

— No, przecież! — powiedziała panienka, ale Bobek tylko zaszczekał z jękiem, zapłakał z dna serca i pędem wrócił na plebanję.

— Kiedy tak, to zostań sobie — krzyknęła z gniewem panienka, ale pan tylko się roześmiał; ani przez chwilę nie pomyślał, aby Bobis miał ich porzucić naprawdę.

Proboszcz i gospodyni śmieli się także.

— Nie poradzi zostać! — krzyknęła gospody-

ni—jak tylko państwo odejdą kawałek—dogoni!

Więc odeszli zupełnie spokojnie i trochę rozgniewani. A proboszcz i gospodyni także poszli do swoich spraw.

Bobis jeszcze raz wypadł na drogę, ale zaraz wrócił. Przewinął się do gościnnego pokoju i położył na poduszce. Głowę wtulił między wyciągnięte łapy i zamknął oczy. Starał się zapomnieć o tem, co się dzieje — że oto odchodzi od niego, drogą nieznaną.—Pan i Pani, a on zostaje na hańbę swej powinności. I porażony zbrodnią popełnioną, nie czuł, ani widział, że zbliża się burza, a przecież się zbliżała — na dworze i w jego sercu.

Gospodyni weszła do pokoju, ażeby pozamykać okna.

— Patrzcie państwo—zawołała—a ten pies jeszcze tu!

Bobek się zerwał.

— Już teraz nie dogoni, ze dwie godziny temu wyszli!—powiedział proboszcz. Trzeba go zamknąć, żeby się gdzie nie zawieruszył, pewno po niego wróca.

Ale Bobisia jakgdyby kto ukłuł w serce! Skoczył mimo gospodyni, wytrącił proboszczowi wazonik z rąk i jak oszalały wypadł na dwór.

Gnał i gnał prosto przed siebie, drogą, którą Oni odeszli. Pęd jego mieszał się ze smugami deszczu. Grzmiało. Na dworze zbierały się kałuże, a Bobek wpadał w nie, rozpryskiwał wokół, nie dbając o nic.

— Wściekły pies — mówili ludzie, którzy patrzyli przez okna na burzę.

A kiedy burza minęła — nadeszła noc.

Bobek zmoknięty i zziębnięty biegł drobnym truchtem, z nosem przy ziemi.

Czemuż, czemuż ich opuścił! Czemuż ich wydał samotnych złemu losowi, czemuż zawiódł ich ufność, sprzeniewierzył się i poniechał obowiązku! On, Bobek, piesek bez rasy i wartości, słaby i niepotrzebny, a przecież tak kochany, psuty i ceniony, jakgdyby wistocie jakąś panu swemu przyniósł korzyść.

Biegł Bobiś i niósł w swoim znękanem sercu głębokie poczucie własnej słabości i winy. I to już czuł najgłębiej, że nie żyć mu na tym świecie, jeśli nie odnajdzie swoich państwa.

Noc już była, a księżyc wytoczył się wysoko pełny i jasny. Chmury się przewalały za horyzont, a niebo roziskrzyło mnogością gwiazd niezliczonych. Żaby w stawach zawodziły swoją pieśń chóralną, długo, bez końca. Na chwilę krótką wszystkie razem milkły — potem jedna pytała — czy już? Czy już siostry śpiewać będziemy o nocy letniej? — Już — O mgłach nad łąkami, o wodzie, chłodnej wodzie, i sitowiu, o życiu radosnem? — Już — i o zimowej śmierci? — Już — i o cichej śmierci!

O tej porze pan i pani — ojciec i Henrysia, przeczekawszy burzę na poczcie miasteczka, powracali szosą na plebanję. Henrysia nie czuła zmęczenia, Henrysia nie chciała jeść ani spać!

Nie słyszała koncertu żab, ani widziała księżycy.

— Pocośmy odeszli, tatusiu? — mówiła zboliałym głosem — trzeba mu było wytłumaczyć.

— Lepiej, żeby sam zrozumiał, Henrysiu — pocieszał ojciec. Niedobrze jest przymuszać istoty żywe do spełniania obowiązków uczucia, na nic się przymus nie zdaje. Lepiej, gdy serce zmusi samo.

— Ale jeżeli zmusi zapóźno, to co?

Ojciec także był trochę niespokojny, chociaż nie chciał tego okazać.

I właśnie, kiedy już zamilkli oboje, nie chcąc się wzajem obdzielać smutkiem, Bobek ni stąd ni zowąd, nawinął się pomiędzy nich.

Och, mokry był, utyłany w błocie, drżący. śmierzdzący wilgotną szerścią — a jednak Henrysia tuliła go do serca i obdarzała najczulszemi wyrazami.

— No, widzisz, Henrysiu — powiedział ojciec z przerażeniem — i cóż my teraz zrobimy? Gdzież się podziejemy tej nocy?

Poszli zastukać do okien, w których się jeszcze świeciło.

VII

Na krzakach rozwieszone, suszyły się w słońcu świeżo uprane koszule, pończochy, sukienka.

Okiem pełnem zwątpienia przyglądała się Henrysia tej garderobie. Otóż okazuje się, że ciężko jest żyć, mając tylko jedną zmianę bielizny i dwie sukienki. Podzieliła się z ojcem swemi spostrzeżeniami.

— Twoje buty, tatusiu, drą się, przyjrzyj się podeszwie, moje trepy, no! nie warto nawet o nich mówić. Przytem wiesz? ja nie umiem prasować bez żelazka, więc twoje koszule i moje sukienki już bardzo źle wyglądają.

Ojciec leżał na trawie i patrzył na sunące po niebie obłoki.

— Może przesadzasz, Henrysiu? — zapytał niepewnie — przecież nie dalej, jak kilka dni temu, gospodyni proboszcza wszystko nam ślicznie poprasowała.

— Ale przez te kilka dni byliśmy już na deszczu i na wichrze i na trawie, sypialiśmy po różnych dziurach—nieubłaganie dowodziła Henrysia. — Wiesz, tatusiu, że nie jestem elegantką, ale musimy wyglądać okrzętnie. Sam powiedz!

Ojciec, owszem, był tego samego zdania, ale nie widział żadnej rady.

— Chyba zajdziemy do jakiegoś domu i poprosisz o żelazko?

— Nie — twardo zaprzeczyła Henrysia — w żadnym domu nie podzelują nam butów. I zresztą, tatusiu, twoje koszule obrzydliwie upraliśmy, tylko się przypatrz.

— To ciekawe — zainteresował się ojciec — mamy mydło, mamy mocne ręce i dużo dobrej woli, a mimo to, rzeczywiście upraliśmy dosyć brzydko.

Henrysia triumfowała. — Aha! widzisz! no to już ci teraz powiem, tatusiu, że, oprócz mydła, trzeba różnych innych rzeczy do prania. I gorącej wody, i sody, i bielidła, a potem jeszcze krochmalu.

— Bardzo skomplikowane jest życie — ciężko westchnął ojciec. Spróbował jeszcze pertraktować:

— Więc, Henrysiu, może poszukalibyśmy jakiejś plebanji czy dworu?

— Nie — już było zupełnie wyraźne, że Henrysia ma jakiś plan gotowy. — Skończy się na tem, że nas gdzieś wyłają. Bo już przecież prosić, żeby nam bieliznę prali, nie można!

— Henrysiu — powiedział ojciec zrozpaczo-nym głosem — popatrz na niebo, jest tak szafirowe jak najpiękniejsza farbka, a obłoki jak najczystsze mydliny. Poco mnie męczysz, moja córko, rzeczami, które nie mają żadnego znaczenia!

— Poto... — Henrysia zrobiła pauzę — poto, że pójdziemy teraz na stację kolejową... widzisz te budynki tam nad torem? właśnie stacja. Wsią-

dziemy do pierwszego pociągu i pojedziemy do pierwszego po drodze miasta.

Ojciec przyjrzał się Henrysi z uznaniem.

— No, no — powiedział — nawet się nie spodziewałem, że taką rzecz można wymyślić. Coprawda, okropnie mi się niechce do miasta...

— Tylko na parę godzin, tatusiu.

— Nawet na parę godzin. Ale oczywiście, to będzie najlepsze wyjście z tej trudnej sytuacji. Moglibyśmy, coprawda, zaopatrzyć się w szydła i skórę, i sami sobie zreperować buty, moglibyśmy również kupić te wszystkie twoje chlorki i krochmale, i prać bieliznę. Ale poco? Już tak mądrze jest urządzone na tym świecie, że jest wzajemna wymiana usług. Ja cały rok piszę, rachuję i organizuję za innych ludzi, a inni za mnie robią buty i piorą moje koszule.

Bardzo na rękę był Henrysi taki światopogląd, choć miała w tej kwestji pewne zastrzeżenia.

Słońce przypiekało, a niebo oczyściło się gładko z obłoków. Po drugiej stronie rzeczki, na łące, pasły się duże, łaciate krowy, spokojne i zamyślone.

Na małej stacyjce kolejowej, mimo, że była już ręką miasta, jeszcze wieś panowała niepodzielnie. Zapach koszonej koniczyny, szeroki powiew z pól, a nawet niedaleko toru takie same, pełne godności krowy, lekceważące grozę pociągu i stalowych szyn.

Ale już w wagonie innem tętniło życiem.

Czyliż możliwe, iż to tacy sami ludzie budowali chałupy do ziemi przytulone, stodoły pachnące ziarnem—i te żelazne, niespokojne wagony, pędzące gładko po szynach, do wiadomego celu. Czyż to tych samych ludzi wiodły drogi szerokie, wyboiste, wstęgami trawy i macierzanki znaczone—i te dwie wstęgi stalowe, nieubłagane równe, z których ani zboczyć, ani zawrócić nie zdoła nikt.

Wagon pełen był ludzi, wiejskich i miastowych. Siedzieli w upale i ścisku, na drewnianych ławkach—ten z koszykiem na kolanach, ów z tobołkiem u nóg i parasolem w ręku.

Na nowowchodzących do przedziału spoglądali niechętnem okiem. Tu i owdzie jakaś jeźmość szerzej się nawet rozsiadła, aby już przecie nie przyszło na myśl przybyszom, że mogłoby się tu dla nich jeszcze miejsce znaleźć.

Jeden tylko młody robotnik poruszył się i zdjął z ławki swoją torbę, by uczynić trochę miejsca dla Henrysi i jej ojca.

Ożywiona rozmowa, którą przerwało wtargnięcie do wagonu nowych podróżnych, potoczyła się dalej. Odrazu można było spostrzec, że rej między wszystkimi wodzi starszy, dość zażywny jegomość, siedzący pod drzwiami. Wszyscy zgodnie kiwali głowami, słuchając jego mowy.

— Takie czasy, że niech Pan Bóg broni—twierdził ów robotnik o szerokim obliczu.—Czy to rząd powinien pozwalać na takie porządki. Dawniej to inny ład był i na kolei i w urzęd-

dach, a nawet, że i podatków się takich nie płaciło, jak teraz.

— Nawet, że jeszcze rząd dopłacał poniektóremu — ironicznie wtrącił młody robotnik.

Jegomość spojrział nieufnie, ale zignorował niewczesny żart. Ciągnął dalej, wśród ogólnie przychyłnej atmosfery.

— Albo czy to powinno tak być, żeby człowiek dwie godziny czekał na pociąg? W Ameryce, to panie, co minutę wałą pociągi — przyjdiesz, wsiądziesz i jazda!

— Co minutę? — zdziwił się robotnik. — Dziesięć pociągów na minutę wychodzi z każdej stacji. Chcesz jechać z Pacanowa do Kielc, to ci dziesięć pociągów co minuta odchodzi, że sam nie wiesz do którego by to wsiąść.

Tu i owdzie rozległ się śmieszek. Jegomość poczerwieniał, zmiażdżył przeciwnika wzrokiem i odwróciwszy się do niego plecami, spróbował na nowo opanować sytuację.

— Zarobki tera takie, że człowiek mało z głodu nie zdechnie!

— Pewnie, pewnie — zgodzili się wszyscy odrazu i stworzyli wspólny front przeciw opuszczonemu robotnikowi.

— Dawniej, jak człowiek uczciwie pracował, to na starość gruntu sobie kupił i odłożył kawałek grosza.

— Nie wiecie to, moi państwo? — westchnął z zachwytem robotnik — złotem ci, człowieku, płacili, złotem rublami! Jakieś sobie przepracował

tych marnych szesnaście godzin na dzień, to po fajerancie zarobku nie mogłeś udźwignąć do domu, samochodem trza cię było odwozić! Ehe, niema, jak dawne czasy, dawniej to nawet, że czasem trafiał się mądry człowiek, a dziś to już same durnie!

Gruchnął śmiech, a jegomość zerwał się z miejsca.

— To może ja jestem dureń?—zapytał groźnie.

— A niech Pan Bóg broni;—poważnie zaprzeczył robotnik. — Ja tylko tak sobie o dawnych czasach. Każdemu jest wiadomo, że dawniej to kury znosiły same dukaty. Jak jechałeś koleją, to ci do biletu dopłacali, niewiele, ale zawsze kilka groszy. Chleb i kiełbasę to rozdawali na każdym rogu, a już żeby kto był chory, albo umarł, to ani mowy! Rząd porządku pilnował, nie to co teraz — co jak się kto spóźni na kolej, to potem musi czekać dwie godziny!

Już teraz cały przedział się śmiał, aż z sąsiednich zaglądały ciekawe głowy.

Jegomość zsiniał z oburzenia i już miał wybuchnąć gniewem, gdy ojciec Henrysi wtrącił się do rozmowy:

— To już tak jest na tym świecie, że wszystko, co było kiedyś wydaje się lepsze od tego, co jest. A przecież to tylko toczy się koło.—Dziś temu lepiej, jutro tamtemu.

— Najgorsze to jest narzekanie—stwierdziła ta z pośród kobiet, która przed chwilą najgoręcej wtórowała lamentom jegomościa.

Pociąg zwalniając biegu, zaczął wymijać szeregi towarowych wagonów. Szyny zdwajały się i potrajały przed budynkami stacji.

Robotnik wstał i podjął swój tobolek.

— Ja tam jedno wiem—rzekł, błyskając zębami w uśmiechu — że wolę dziś, jak wczoraj. Wczoraj już diabli wzięli, a dziś to można jeszcze zostać prezydentem, jakby na którego padło.

Ojciec i Henrysia wysiedli wśląd za nim i pożegnali go uśmiechem zrozumienia.

VIII

W mieście była uroczystość.

Na domach powiewały flagi, balkony przystrojono dywanami, a sklepy były zamknięte.

— A tośmy się ubrali, Henrysiu! — powiedział ojciec bez żalu, bo przedewszystkiem bardzo lubił wszelkie uroczystości uliczne, a powtóre domyślał się, że popołudniu pootwierają sklepy.

Na rynku miasta odsłaniano pomnik wolności, w obecności dygnitarzy, przybyłych ze stolicy i miejscowych władz. Wojsko ciągnęło ulicami z muzyką i sztandarami, na których widok odsłaniały się wszystkie głowy.

Henrysia była w siódmym niebie.

— Widzisz, tatusiu, że i w mieście bywa czasem przyjemnie — mówiła, czesząc się pośpiesznie w pokoju hotelowym.

Hotelik był malutki, jak zresztą wszystko w tem mieście. Ojciec i Henrysia z trudem zdołali dostać w nim ostatni wolny pokój. Cały budynek zajęty był przez dygnitarzy stołecznych.

Okna tego pokoju wychodziły na boczne podwórko. W otaczających go z trzech stron murach, tylko gdzieś niedaleko widać było małe, zakratowane okienka, snąć nie od pokoi miesz-

kalnych. Z czwartej strony, niski mur oddzielał podwórko od sadu, a rozłożyste gałęzie drzew zaglądały poprzez wierzch.

W jakiejś chwili, kiedy Henrysia, mydląc ręce, rzuciła okiem w ogród, uwagę jej przykuły trzy niewielkie postacie, które usiłowały się przedostać z gałęzi na mur.

Henrysia przysunęła się do firanki.

Dwóch chłopców, odświętnie ubranych i dziewczynka w świeżej, białej sukience, stali już właśnie na murze i zachowując tysiączne ostrożności, mając widać na celu oszczędzenie uroczystych strojów, spuszczały się na podwórko. Jeden z chłopców dzierżył w dłoni długi, ostro zakończony pręt, który był przedmiotem szczególnego zainteresowania całej trójki.

— Co się tak gapisz, Henrysiu? — zapytał ojciec z głębi pokoju, gdzie usiłował właśnie nadać swym zniszczonym butom świetny połysk młodości.

— Cicho... tatusiu! tu się dzieje coś ciekawego — szepnęła Henrysia, kładąc na ustach namydlony palec.

Ojciec z zainteresowaniem podszedł do okna i już oboje śledzili uważnie poczynania tajemniczej trójki.

Prawie naprzeciw ich okna rysował się na murze ciemny, zakratowany otwór, który najwyraźniej był celem wyprawy spiskowców. Naradzali się chwilę cichymi głosami, gestykulując żywo. Wkońcu starszy z chłopców z widoczną

niechęcią, nadstawił plecy, dziewczynka rozpostarła na nich dużą chustkę do nosa, a chłopak młodszy wgramolił się na tę naturalną podstawę, poczem zajrzał poprzez kratę.

— Daleko — powiedział z niepokojem.

— Nie gadaj, tylko rób — szorstko poradził ten, który służył za drabinę.

— Ja nie gadam, tylko nie wiem, czy dostanę. Mania, daj patyk. — Ujął wręczony mu pręt i zagłębił go w otwór ciemny.

Dziewczynka wpatrywała się w niego z wyrazem ostrego niepokoju.

Henrysia zapomniała, że mydło wysycha jej na rękach, a ojciec zataił dech w piersiach.

— Jest! — krzyknął chłopiec z ulgą. Twarz dziewczynki rozpromieniła się, a starszy brat mruknął życzliwie:

— Nie wrzeszcz, tylko się śpiesz!

Tymczasem mały triumfalnie wyciągał z poza kraty rumiany pierożek, nadziany umiejętnie na patyk. Dziewczynka błyskawicznie zdjęła go z ostrza i operację rozpoczęto na nowo.

Za czwartym pierożkiem ojciec powiedział na nowo:

— Małe szelmy! po jednym im powinno wystarczyć!

Kiedy zaś siódmy wyjeżdżał na światłodziennie już i Henrysia wypowiedziała swoje zdanie.

— Objedzą się, jak prosięta. Bardzo dobre muszą być te pierożki, tatusiu. Jak ty myślisz, z mięsem, z kapustą, czy z konfiturami?

— Mimo, że, jak się zdaje, są to dzieci naszego hotelarza—powiedział ojciec—jednak nie powinny tak przesadzać. Powiem im, że...

Nie zdążył powiedzieć. Na podwórku zrobił się nagle popłoch. Mały chłopak, jak piłka, skoczył z pleców brata, pierożki momentalnie zostały rozmieszczone po kieszeniach i cała trójka z wielkim pośpiechem ulotniła się z podwórka. Śnać jakieś niebezpieczeństwo zjawiało się na horyzoncie, choć ojciec i Henrysia nic nie dostrzegali niepokojącego.

Potem zjedli pośpiesznie śniadanie, rzewnie wspominając pierożki i poszli na rynek, by się przypatrzeć uroczystości. Zaraz na wstępie natknęli się na hotelarza. Szedł, prowadząc pod rękę swoją ustrojoną żonę, a przed nimi kroczyło troje, dobrze znanych Henrysi dzieci, z minami niewiniątek.

Hotelarz widocznie miał serce otwarte dla wszystkich, zarówno jak i drzwi swego hotelu, bo zaraz serdecznie zaproponował swoim gościom opiekę. — My mamy dobre miejsca na trybunach. Jakoś się zmieścimy razem. Bardzo proszę, niech państwo idą z nami.

Zanim jednak zdołano się dostać do trybun, tłum ścisnął całe towarzystwo w niewiarogodny sposób! — Zrobią z nas konserwy — jęczał hotelarz czerwony i zlany potem. — Nigdy nie myślałem, że to tak przykro być prasowanym. Moja Basiu, czy ty zastanowiłaś się kiedy nad tem, w jak niemiłej sytuacji stawiamy nasze sery.

Na trybunach wszyscy odżyli. Pełno tu było pań w jasnych sukniach, z kolorowymi parasolkami, dzieci z kwiatami w rękach, panów ważnych i pełnych godności.

Pomnik jeszcze był przysłonięty, szarą płachtą, a z boku, na wysokiej trybunie, stał siwy pan i przemawiał z ogromnym zapałem.

Henrysia nie słuchała, bo całą jej uwagę zajęło wojsko, cechy ze sztandarami, delegacje w strojach ludowych, szeregi skautów i skautek, błyszczące trąby muzyki wojskowej.

Ani się spostrzegła, jak pan przestał mówić.

Wówczas rozległy się komendy, buchnęły dźwięki hymnu, a szara zasłona opadła na ziemię.

Wszystkie twarze płonęły radością. Na bronzowy posąg wolności, którego ramiona wystrzeżyły ku niebu, jak okrzyk serc, wezbranych zachwytem, posypały się kwiaty letnie—czerwone, ogromne maki, róże wielobarwne, kampanulle, goździki!

Henrysia śpiewała pełną piersią. Jakaż to rozkosz, jaka rozkosz śpiewać—kocham cię, ziemio moja, miłuję cię słońce, i was ludzie wszyscy, bracia moi!

Może inne były słowa pieśni, ale to przecież miały znaczyć!

Starszy chłopiec z trójki hotelarza powiedział ponuro do brata.—Mam pełną kieszeń syropu, zdusili moje pierożki!

— O retyl!—jęknął młodszy i szybko zasłonił sobą kompromitującą plamę na portkach

brata, ale już było zapóźno. Dostrzegła ją matka i nieomylnym instynktem wiedzona, sięgnęła do kieszeni przestępcy.

— Pierożki! — krzyknęła ze zgrozą. — Nie mówiłam ci, Ksawery, że brakuje pierożków w spiżarni?

Hotelarz pokiwał głową. — Wartoby go sprać, powiedział, ale jakoś nie mam do tego serca dzisiaj.

A że wszyscy byli bardzo głodni, a na trybunie mówił nowy pan, szepnął do młodszego syna. — Może twoich nie zgnetli, co?

— Proszę, tatku — powiedział malec, uprzejmie podając swoje śliczne, cudem ocalałe pierożki. Zgniecione zjedzono zresztą także.

Później, z okien sali hotelowej przyglądali się ojciec i Marysia wojsku, powracającemu z parady. I patrząc na te szeregi karne, doskonale ubrane, chłonąc oczami ich ruch, niezawodnie sprawny, uniesiona egzaltacją brawurowej muzyki, Henrysia podniosła ku ojcu błyszczące oczy i krzyknęła:

— Tatusiu, jabym chciała, żeby była wojna! Gwałtownym ruchem odwrócił się ku niej.

— Co takiego? — zapytał ostro.

Henrysia nie stropiła się, mimo surowości, która na nią uderzyła z tych słów. — Chciałabym, żeby była wojna! — powtórzyła uparcie z obrażoną miną.

— Ach tak, ach tak? — głupie, bezmyślne dziecko! — rzekł ojciec z gniewem.

Henrysia uniosła się:

— Tylko w czasie wojny są bohaterowie! Ja wiem, że starsi nie lubią wojny, bo starsi są tchórze i wolą żyć spokojnie — mówiła w łunie rumieńca. — Ale to przecież cudownie bić się, zwyciężać, dostawać krzyże! I wszystko się wtedy poświęca dla ojczyzny. A ja byłabym sanitariuszką i pielęgnowałabym rannych. I rzucałabym kwiaty żołnierzom, którzyby szli na front!

Ojciec miał twarz zmienioną gniewem, ale spokojnie powiedział:

— Rzucałabyś kwiaty ludziom, którzyby szli na śmierć. Ogromnieby im te twoje głupie kwiaty były potrzebne w okopach, w błocie, w kałużach krwi. A wiesz, czym płaciliby twoi bohaterowie za krzyże? Ślepotą, kalectwem, rozmiądzoną twarzą!

— Wcale nie! — krzyknęła Henrysia.

Ojciec jej nie słuchał. — Popatrz, takie wesołe miasteczka jak to, zmieniłyby się w kupę gruzów, z tych wsi, przez które wędrowaliśmy, powstałyby zgliszczka. A te dzieci, białe ubrane, które rzucały kwiaty na pomnik, tułałyby się obdarte i głodne, bezdomne — ojciec nagle ręce załamał. — Ach, Boże — powiedział jakimś przeżonym głosem — zaledwie mija pokolenie, które zniechęciło wojnę, już podrasta drugie, które jej pragnie, które ją przeklinać będzie, zapóźno. Henrysiu, zrozum — już się nie gniewał, tylko prosił — jedna tylko sprawa na świecie warta jest wojny, to Wolność. Ale to jedyna rzecz godna

krwi i łez człowieczych. Przypomnij sobie prawo najwyższej mądrości, słowa Boże. Wolno bronić swego życia i życia swego narodu, ale napadać, nie wolno! Nie wolno pragnąć wojny, to grzech śmiertelny. Henrysiu, wojna to śmierć, głód, bezdomność, nędza, tęsknota, niepokój, cierpienie! — chwilę szukał słów, którymi najpewniej trafićby można do serca córki. — Jabył poszedł na tę wojnę, której pragniesz i nie wróciłbyś może.

Henrysia czuła już głęboko w duszy słowa ojca. Ale pełna ambicji i uporu, nie chciała okazać swej porażki.

Powiedziała ze sztucznym uśmiechem:

— Wróciłbyś, tatusiu. I w dodatku byłbyś generałem i miałbyś pełną pierś krzyżów!

Ojciec już nic nie powiedział więcej.

IX

Tego wieczora jakoś niewyraźnie przedstawiała się przyszłość. Henrysia nie była zadowolona. Ojciec nie zgodził się przenocować w mieście i tak się niedobrze urządził, że kiedy wyruszano w drogę, wszystkie sklepy już były pozamykane i żadnych zapasów nie można było kupić. Zresztą ojciec nie uznawał zapasów.

— W pierwszej wsi dostaniemy jeść, pocóż dźwigać paczki — powiedział.

Henrysia wstydziła się przyznać, że po tym dniu uroczystym i pełnym wrażeń, czuła się zmęczona. Ale humor ją opuścił i dość ospale wlokła się z ojcem, co trochę przystając po drodze. Natomiast Bobek, który się wyspał i najadł w hotelu, dotrzymywał kroku swemu panu i ochocho biegał w chłodzie wieczoru.

Droga tuż za miastem zapadała w las, o którym ojciec twierdził, że jest mały i zupełnie bezpieczny. Ostatnia kwadra księżyca srebrzyła się na wysokiem niebie.

Henrysia wsunęła rękę w dłoń ojca. Była zmęczona i głodna, więc odbiegła ją dzielność i energja. Po raz pierwszy wspomniała życzliwie o różowych ścianach swego pokoiku w mieście i o gderliwym głosie Bronisławy.

— Co też tam Bronisława robi bez nas?—
westchnęła.

Ojciec doskonale wiedział co robi. Chodzi do kościoła na prymarję i na cichą mszę o 8-ej godzinie, potem kupuje pęczek marchewki, kilka kartofli, włoszczyzny i kawałek mięsa i gotuje sobie obiad. (Henrysia westchnęła ciężko). W czasie gotowania rozmawia przez okno z kucharką z przeciwka o tem, że ojciec z Henrysią jeszcze się gdzieś grajdają po świecie, aż strach pomyśleć — i o tem, że dozorca, świnia, kłóci się o każdy dywanik, wytrzepany z balkonu, a po kamienicy tyle żebraków łązi, że nie można nastarczyć. Po obiedzie szoruje kuchnię, ubiera się pięknie i idzie na nieszpory.

— W tę granatową suknię?

— Prawdopodobnie.

— A mieszkania nie sprząta?

— Może czasem i sprząta!

Henrysia starała się zagadać zmęczenie. Już chyba z parę godzin szli, a las nie myślał się kończyć i nigdzie dojrzeć nie było można siedziby ludzkiej.

Ojciec wydawał się żwawszy niż kiedykolwiek i nic nie wspominał o jedzeniu.

— Ciekawa jestem, co słyhać u cioci Klary? — rzekła Henrysia, choć wiedziała doskonale, że słyhać tam tylko mruczenie antypatycznego kota Alfya i szelest miękkich pantofli po podłodze.

Ojciec uśmiechnął się.

— Co ty tak ciągle o mieście wspominasz? — zapytał.

Henrysia właśnie obiecywała sobie, że już nie będzie robiła żadnych trudności w dniu odwiedzin u ciotki Klary. Nie jest tam przecież aż tak nudno, a nawet te jej placki z serem są dosyć dobre, tylko niesłodkie.

Potknęła się o kamień — ojciec przytrzymał ją za rękę. — No, cóż to? — zapytał — może jesteś trochę zmęczona?

Najgorsze to, że z głosu jego nic nie można wymiarkować, drwi, czy tylko tak dzisiaj nic nie rozumie.

— Uderzyłam się w nogę — powiedziała Henrysia ponuro, ale nie przystanęła. Zawziętość ścisnęła jej serce. Dobrze, jeśli ojciec udaje, albo naprawdę nic dzisiaj sam odczuć nie umie, to ona nie zdradzi się z niczem. Zemdleje z głodu, upadnie ze zmęczenia, rozchoruje się i umrze, ale nie powie ani słowa. Dlaczego dotychczas zawsze przeczuwał jej myśli, uprzedzał pragnienia, troskliwą otaczał czujnością, a dziś jest jak gdyby nieobecny, zatopiony w jakichś myślach, obcych i dalekich?

A nawet zaczął opowiadać głosem pogodnym i lekkim o przygodzie, która mu się zdarzyła kiedyś:

— Zdaje się, że właśnie wtedy byłem w twoim wieku. Henrysiu — mówił — nie wiem dlaczego przypomniła mi się ta historia, może z powodu tej łuny zachodu na niebie. — Chodziłem do

szkoły w małym miasteczku, gdzie mieszkali wówczas moi rodzice. Naszym profesorem gimnastyki w szkole był junacki osobnik, który jednocześnie piastował godność naczelnika straży ogniowej. Otóż właśnie kiedyś, gdy fikaliśmy w najlepsze koziołki na trapezach, a nauczyciel wrzeszczał — „fikasz, smyku jeden, jak żaba” — z wieży strażackiej zatrąbiono na alarm.

Nasz gimnastyk porwał się dziarsko, wrzasnął: „żebyście się nie ważyli pchać do ognia”, i dla przypieczętowania zakazu, zamknął nas na klucz, a sam poleciał na stanowisko.

Postaw się tylko, Henrysiu, w naszym położeniu! Czternastu kandydatów na bohaterów pod kluczem, w pokoju, podczas, kiedy całe miasto pędzi do pożaru, po ulicach dudni straż ogniowa i dzwon kościelny dzwoni na trwogę.

— Czy długa jest ta twoja historia? — zapytała Henrysia nieprzychylnie.

— Nie bardzo długa, Henrysiu.

Ojciec był ciągle bardzo pogodny.

— Naturalnie powyskakiwaliśmy przez okna — ciągnął dalej — wszyscy z przekonaniem w duszy, że bez naszej pomocy całe miasto spłonie. Narazie płonęły tylko dwa drewniane domki, na bocznej ulicy, w ogrodzie. Tłum był wielki i straż uwijała się sprawnie, pod komendą naszego dziarskiego pedagoga...

Henrysia szła już nie dobrowolnie, a mocą rozpędu; zmartwiałe nogi jakoś machinalnie podnosiły się i opuszczały na ziemię z dręczącą

równomiernością. Do końca życia znienawidziła tę historję o pożarze. Słuchała jej teraz wrogo i bez ciekawości.

— Z początku oszołomił nas tumult, dym i krzyki—opowiadał ojciec, jakgdyby nigdy nic. Wkrótce jednak zrozumieliśmy, gdzie jest nasza powinność. Przynajmniej ja osobiście i kilku moich przyjaciół poczuliśmy się powołani do wielkich czynów. Nabraliśmy pewności, że trzeba się wpakować do płonącego domu i wynieść z płomieni kołyskę z dziećmi, ale a nuż?

Zaledwie jednak wdarliśmy się w dym, tuż nad nami zagrzmiała komenda naszego profesora, i o hańbo, o wstydziel strażacy wygrzebali nas z ognia, jak ziemniaki z popiołu i wynieśli na placyk przed domem. Dla wszelkiej pewności kazano nas związać wszystkich razem, jak pęczek szparagów na sprzedaż i jeszcze pozostawiono przy nas strażaka. I staliśmy tak, Henrysiu, powiązani, w obliczu płonącego domu, ratowanego przez innych, i mogliśmy dowoli pławić się w ogniu upokorzenia. W owej chwili najsroższe tortury wydawały nam się za łagodne dla naszego nauczyciela — który sam przecież używał na tym ogniu, co się zmieścił

Cóż to, Henrysiu, przystajesz?

— Tatusiu... tatusiu... ja jestem zmęczona...

Ojciec okazał współczucie, wprowadzie umiarowane, ale jednak zajął się tą sprawą. Powiedział, że wobec smutnej prawdy, że nigdzie ani śladu domostwa, przenocować muszą w lesie.

— Jakto w lesie?—głos Henrysi zadrżał.

Ojciec jej zboczył z drogi i szukał wygodnego miejsca. Znalazłszy zaciszny kąt między krzakami, rozesał swój płaszcz na trawie, a plecak położył zamiast poduszki.

— Nie chce mi się spać, Henrysiu, będę tu siedział koło ciebie, a ty się połóż i śpij. Niedługo będzie świtało, wówczas może się od tego dowiemy, gdzie znaleźć jakieś osiedle.

Milcząc głucho, Henrysia zawinęła się w płaszcz i wyciągnęła na trawie, ojciec ułożył jej głowę na swoich kolanach. Ale jego ciepłe ręce, które tak dobrze było zawsze trzymać w dłoniach i przytulać do twarzy, tym razem wydały się Henrysi nieżyczliwe i bezradne. Tak, po raz pierwszy oto w życiu ojciec wydał jej się bezradny!

— Drzewa nie śpią w nocy, raczej o południu — mówił ojciec cichym głosem (dlaczego nawet nie wspomniał o niedoli tej męczącej i głodnej nocy, dlaczego nie mówił o jedzeniu?).

— Drzewa czuwają i myślą, rozumieją, gdy jest ciemno, sens życia i śmierci, rozmawiają z Panem, który z niebios schodzi pomiędzy nie. Henrysia zasnęła.

Zbudził ją chłód poranka. Słońce jeszcze się kryło za horyzontem, ale jasno już było prawie, a wszystkie ptaki śpiewały, pełne radości i oczekiwania. Ptaki niefrasobliwe i wolne, z porankiem się witały pełną piersią.

Henrysi wydało się, że już nie będzie mogła wstać. Nogi, ręce, kark, wszystko było obolałe, połamane i bezsilne.

— No, jakże tam, Henrysiu? — zapytał ojciec. Był blady, ale uśmiechnięty wesoło. — Spałaś tylko godzinę — ciągnął, widząc, że odpowiedi nie można się spodziewać od tak zgnębionej osoby — ale teraz już niedługo znajdziemy dom jakiś. Wyśpisz się i najesz. Jakie krótkie są teraz noce i jak ciepłe!

Widocznie na świecie niema rzeczy krótkich i długich, zimnych i ciepłych, bo oto dla niej, dla Henrysi, ta noc była najdłuższa z przeżytych, a ten poranek najchłodniejszy. Trzęsła się.

Ojciec kazał jej zdjąć płaszcz i pobiegać dla rozgrzewki, ale, że się wzbraniała, nadąsana i oporna, zaczął się z nią boksować i zmusił swoją gniewną córkę do ruchu, w którym zrobiło jej się wkońcu ciepło.

Potem ruszyli dalej.

— Coprawda — powiedział ojciec — wczoraj wstaliśmy o świcie; cały dzień w mieście śpiewaliśmy hymny, drepcąc w tłumie. Obiad był marny, bo nasz hotelarz, pełen zrozumienia swoich obowiązków narodowych, wszystko, co lepsze, oddał generałom i posłom. Kolacja...

— Kolacji nie jedliśmy wcale — szorstko przerwała Henrysia.

— Wcale? ach, prawda, nie jedliśmy. No a tę noc przewędrowaliśmy lasem. Może to i nic

dziwnego, że jesteśmy trochę zmęczeni. Nie trać ducha, Henrysiu.

Ach, jakże byłoby dobrze rozplakać się!

Henrysia powiedziała nienaturalnie swobodnym głosem:

— Nie bardzo jestem zmęczona i jeść mi się nie chce. Czego ten głupi Bobek znów się śmieje?

Las się skończył, a zaczynał się wielki, złoty łąn zboża. Z tego miejsca nie było widać wsi, ani ludzi, ani zwierząt — nic, jeno ten łąn, falujący po obu stronach drogi, jak rozkołysane morze.

Henrysia usiadła na ziemi.

— No, dobrze — powiedział ojciec — widzę, że nie możesz iść dalej. Zaczekaj tu z Bobkiem, a ja wejdę na to wzgórze i rozejrzę się po okolicy.

Odszedł — Henrysia nie pożegnała go ani słowem. Z oddali jeszcze krzyknął: — Tylko nie ruszaj się z miejsca, bo się rozminiemy!

Henrysia oparła się o drzewo i siedziała, jak martwa. Nie myślała o niczem, nie miała siły strzepnąć mrówki z ręki, ani odsunąć włosów, które się zsunęły na oczy. Ach, oto już słońce się podniosło i ogrzewa umęczone ciało ciepłem swych promieni. Oczy zamykają się same, głowa pochyla na ziemię. Co tak ciągle dokucza? Co to przytłacza nogi, i przyciska ręce?

Ocknęła się z ciężkiego snu i wyprostowała. Słońce już wysoko wystrzeliło ponad horyzont. Długo, długo szukała Henrysia wytłumaczenia

dla tych wszystkich, otaczających ją rzeczy. Dlaczego pole, zboże? Skąd ten las za plecami? Nagle przypomniała sobie. A to przedewszystkiem, że ojciec odszedł, a ona miała czekać.

— Pewnie spałam tylko parę minut — pomyślała sobie i nagle poczuła w sercu przyływ energii.

— No, mój Bobku! — powiedziała rażno — zmachaliśmy się, jak nieboskie stworzenia! Gdyby to widziała Bronisława, no!

Rozwinęła plecak, przetarła twarz i ręce kołniską wodą, poczesła włosy.

Teraz przyszło jej na myśl, że kiedy ojciec odchodził, słońce wysuwało się zaledwie z za linii horyzontu — popatrzała na niebo; teraz oślepiające i mniejsze zda się, niż o wschodzie, już się toczyło wysoko, rzucając krótkie cienie.

Nagły niepokój przeszył serce Henrysi. Cóż to się stało z ojcem? A może... może słońce tak prędko sunie o świcie, że... jednak nie, wczoraj, onegdaj ogłądała wschód słońca, więc już wie, jak szybki jest jego ruch. Teraz może być godzina... dziewiąta! A ojciec odszedł między trzecią a czwartą.

Henrysia oparła się o pień dębowy. Cała krew odpływa z serca gdzieś w ziemię — ręce robią się bezsilne, uginają się nogi! To jest przecież pewne, że ojciec dobrowolnieby jej nie opuścił, nie zostawił tu samej! Minęło sześć godzin — jeśli dotychczas nie wrócił, to znaczy, coś mu się stało.

— Bóże, jakąż ja jestem głupia! — krzyknęła nagle, załamując ręce — może to jeszcze nie dziewiąta, przecież się nie znam tak dobrze na słońcu!

Tam, niedaleko na polu żytniem, ujrzała kilkoro ludzi, posuwali się wolno naprzód, kłoniąc się ziemi zniwnym ruchem.

Henrysia popędziła ku żeńcom, nie czując zmęczenia.

— Czy... czy... przepraszam, która godzina? zapytała, ledwie uchwyciwszy oddech.

— A będzie już, panienko, niedługo dzieńsiata — powiedziała jedna z kobiet, spoglądając na niebo.

— A czy... nie przechodził tędy jeden pan w szarem ubraniu?

— Iść, to tam różni przechodzili drogą. Panienka się zgubiła?

— Nie... czy napewno...

Nagle przypomniał się Henrysi ostatni okrzyk ojca: „tylko nie ruszaj się z miejsca, bo się zgubimy“, zawróciła więc i nie zważając na zdziwienie kobiet, pomknęła zpowrotem na swoje stanowisko.

Plecak leżał w miejscu, gdzie go porzuciła. Bobek zaszczekał na niego porozumiewawczo.

Teraz Henrysia usiadła na ziemi i całą siłą woli opanowała się. Jeszcze raz od początku przemyślała wszystko.

Odszedł o wschodzie, to znaczy między trzecią a czwartą, miał zamiar tylko spojrzeć ze

wzgórza, czy nie widać gdzie wsi lub folwarku. Ona... zasnęła prawie zaraz i... minęło sześć godzin, a ojca niema!

Więc cóż się mogło stać? Zobaczył więc i poszedł do niej? Nie, nie, i nie! Czyżby opuścił swoją małą, zmęczoną, śpiącą córkę, samą jedną, w pustem polu, na całych sześć godzin? Więc cóż się mogło stać?

Spróbowała wołać, ale w odpowiedzi cisza stawała się tem głębsza, a cykanie koników polnych, tem ostrzej dźwięczało w powietrzu.

Bobek przysiadł nagle na ogonie i podniósłszy łeb, zawył rozpaczliwie. Henrysia zatrzęsa się.

— To było o świcie—myślała—na drodze pustki. Ojca mógł napaść jakiś włóczęga, zbój i...

— Tatusiu, tatusiu! — krzyknęła i przypadłszy do ziemi, zaniosła się płaczem.

Aż nagle poczuła na ramionach ręce ojca.

* * *

Śmieli się i płakali, trzymając się w objęciach. Ojciec całował słone oczy swojej córki, gładził jej włosy czarne, gorącą dłonią — przyciskał ją drżącą do serca. Wkońcu kazał jej napić się mleka—sam podawał jej termos do ust.

Ale Henrysia ciągle płakała—już nie z żalu i niepokoju, tylko ze zmęczenia.

Zaprowadził ją ojciec do jakiegoś domu za wzgórzem, położył do łóżka czystego, ochłodził jej twarz zimną wodą. Coś tam opowiadał jakiejś obcej pani, ale Henrysia mało co słyszała.

Potem siedział przy swej córce, trzymając jej rękę w dłoni. W tym to pokoju poznała Henrysia rozkosz uspokojenia, łaskawość miękkiego łóżka po nocy bezsennej, ożywczy chłód czystej pościeli. W tym to pokoju, trzymając rękę ojca, zrozumiała, że posiadanie go nie jest prawem wiecznem, a tylko szczęściem wyjątkowem. Cichutko szeptał do niej:

— Więc, widzisz, Henrysiu, czasem się odchodzi i nie wraca więcej. I widzisz, można nie mieć domu, i długo tak tułać się po obcych drogach, i można marzyć nadaremno o kawałku chleba. Tak jest na wojnie, Henrysiu — tylko jeszcze stokroć gorzej. Bo ty, przez chwilę tylko niepokoiłaś się i cierpiełaś głód i zmęczenie, a na wojnie żołnierze i wygnańcza ludność ze wsi i miast zbombardowanych, lata całe znosić to muszą. A szlak wielkiej wojennej parady, znaczony jest lasem krzyżów, nietylko na pierśsiach, ale i na mogiłach.

— Czy ty to zrobiłaś naumyślnie, tatusiu? — zapytała w bezmiernem zdumieniu Henrysia.

— Czuwałem nad tobą cały czas z lasu — powiedział, gładząc jej rękę. — Chciałem, żebyś zrozumiała, odczuła choć w przybliżeniu. To ty będziesz kiedyś rządzić światem, Henrysiu. Ty i twoi rówieśnicy! Trzeba, żebyśmy nienawidzili wojny. I tylko jedna rzecz jest jej warta — Wolność.

X

Brzegiem rzeki wracali do domu.

Miasto już tam w oddali wystrzelało ku niebu wieżycami kościołów, rysowało się surowemi linjami zamków i klasztorów, ku ziemi się kłoniło dachami niskich domów. Powietrze, woda i słońce zasnuwały jego sylwetę niebiesko-złotą mgiełką, że ledwo się z pod niej wyłaniał kolor dachów i murów.

Kończyła się już wycieczka letnia, swobodna włóczęga po świecie jasnym, ale ojciec i Henrysia nie czuli smutku. Oboje wiedzieli dobrze, że z przyszłości wyjdą im na spotkanie nowe życia sprawy i zdarzenia—a wszystkie ciekawe. Lubili przecież nie tylko wycieczki wakacyjne, ale i dzień powszedni, z którego tyle im się zawsze wysuwało treści, że nie potrzebowali koniecznie szukać po świecie przygód.

Ojciec i Henrysia pracowali ochotnie, a także z rozkoszą oddawali się lenistwu dni świątecznych. Przepadali za ciszą i ciepłem własnego mieszkania — i z radością wałęsali się po nieznanym stronach. Zaciekawiali ich ludzie, zwierzęta i wszystkie rzeczy, to też życie nigdy nie było dla nich nudne. — Ogromny mieli wybór, ogromną różnorodność radości i smutków.

— Owszem, Henrysiu, zdarzają się bardzo smutne i złe rzeczy człowiekowi, nawet czasem takie, na które niema rady — powiedział właśnie w owej chwili ojciec — ale sama się przekonasz, życie jest tak bogate, tak ogromne, że choćbyś nie wiem jak cierpiała, zawsze potrafi cię ogarnąć na nowo, odświeżyć ci duszę i pozyskać ją sobie. „Jako u orłów odnawia się młodość twoja“, moja córko.

Henrysia wiedziała dobrze, że ojciec słowa swoje opierał na doświadczeniu, więc ufała temu, co mówił. Narazie jednak nie potrzebowała odnowienia swojej młodości.

Właśnie, naciągnąwszy trykot kąpielowy, wskakiwała w zimne fale, wydając dziki okrzyk radości i strachu. Więc ojciec zrezygnował z dalszego filozofowania i poszedł za jej przykładem.

Mnóstwo ludzi kąpało się w rzece — to też rozbrzmiewała gamami śmiechów i krzyków.

Z łodzi żaglowej, która się kołysała na wodzie, raz wraz wskakiwali w głęboki nurt młodzi chłopcy, rękami nad głową łuk uczyniwszy. Wypływali na powierzchnię tak daleko od miejsca, w którym zapadali w wodę i po tak długiej chwili, że Henrysi aż dech zamierał w piersiach.

Bobek stał na brzegu i głośno wyrażał państwu swoje oburzenie.

— Ach, Bobku, zamiast czekać, chodźno tu do wody.

Bobek odszczeknął parę obraźliwych słów.

— Nie znasz się, mój psie ani na higienie,

ani na przyjemności—powiedział mu ojciec. — Ale, że z istotami nierozsądnymi nie należy się liczyć, więc wykąpiemy cię, pomimo twego sprzeciwu—i ojciec wyszedł z wody.

Bobek natychmiast przewąchał jego zamiary i kilku giętkimi ruchami, które miały wyrażać jedynie najpoddanejsze uczucia, oddalił się przecież od brzegu na przyzwoitą odległość.

Ojciec spróbował stanowczości.—Bobiś, tu—rozkazał krótko.

Piesek ruchem łaskawym, pochylił mordkę ku ziemi, zwinął się wdzięcznie, ogon stulil, ale nie zmienił stanowiska.

Zirytowany ojciec ruszył ku niemu, ale Bobek w tejże samej chwili odskoczył dalej.

Właśnie najbardziej oburzająca była okoliczność, że Bobek nie wypowiadał się otwarcie, że nie czekał raz i drugi — dajcie mi święty spokój, sami sobie włączcie do zimnej wody, jeśli wola, a mnie nie zwracajcie głowy.

Przeciwnie, wszystko w Bobisiu wyrażało zgodę i poddanie się woli pana—i ruch głowy przymilny i nagięcie karku, i pokora ogona, a jednocześnie odległość między nim i panem nie zmniejszała się wcale, mimo energicznych wysiłków pana.

Henrysia w wodzie zanosila się od śmiechu.

— Wyrodna córko — zawołał ojciec, który nie mógł głosowi swemu nadać odpowiedniego patosu, gdyż prostota stroju kąpielowego, niweczyła te intencje — zamiast wysmiewać się,

chodź, dopomóż mi w poskromieniu tego buntownika:

Henrysia z całą ochotą wyskoczyła na brzeg i zabiegła Bobkowi drogę od lewej strony.

Obserwując Bobka, zwiniętego w kłębek na poduszce, albo podziwiając jego wychowanie przy stole, gdy siedział wytwornie, między swym panem a panią, trudno byłoby uwierzyć, ile zaciętej woli mieści się w jego uprzejmym łebku.

Ojciec sam sobie nie wierzył.

— Henrysiu! — wykrzyknął zadziwiony — popatrz ile nowych zalet objawia się nam w Bobku. Ma swoją wolę, swój osobisty pogląd na sprawy! Jedno z dwojga, albo nam go odmienili w drodze, albo nie znaleźmy go dotąd.

— Ja ci mówiłam, tatusiu, że on nie jest taka fajtłapa, jak się zdaje.

— Nic nie mówiłaś.

— Ale myślałam!

— Jeżeli się coś myślało, ale nie mówiło, to potem nie należy o tem wspominać, bo i tak nikt nie uwierzy—powiedział ojciec i rozpoczął nową ofensywę. Złączyli swoje wysiłki, skoordynowali ruchy, ułożyli nawet naprędce maleńki plan działania—wszystko nadaremno.

Bobek najwyraźniej uznał, że najpolityczniej będzie udawać, że wszystko to razem jest zabawą w polowanie. Już się nie łąsił i nie przybierał pokornych min, tylko czekał zaczepnie, śmiał się, zabiegał z tej i owej strony, i zawsze w ostatniej chwili wymykał się z rąk swoich prześladowców.

— Wycieczka wyrobiła w nim gibkość i sprężystość—powiedział ponuro ojciec.

Tymczasem konfliktem Bobka z państwem powoli zainteresował się cały brzeg. Kilka osób powyskakiwało z wody, ten i ów dźwignął się z piasku. Z dużym zaciekawieniem śledziły ich oczy podstępne ruchy ojca i Henrysi, oraz drażniąca zręczność krnąbrnego Bobka.

— Oho! już go złapia!—powiedziała okrągła panienka w żółtym kostjumie i czarnej czapeczce.

— Mowy niemal to zręczny piesek — pochwalił chłopiec w pasiastym trykocie.

— Znienacka, panienko, przysiąść i znienacka skoczyć! — wrzeszczał gruby pan, zupełnie zmoczony.

— Trzeba go oskrzydlić—doradzał chłopak w siatce na głowie.

— Jabym radził tak: niech się uspokoi, przysiadzie, a wtedy udać, że niby nigdy nic i przychwycić!

— Phi! ja stawiam na pieska! Nie da się.

— A ja na tę panienkę, doskonale biega.

— Napewno ten pan złapie, bo ma dobrą metodę. I nagle cała banda od słów przeszła do czynów. Rozbrzmiało powietrze wojennemi okrzykami—łapaj, trzymaj, niech pan broni tej placówki! na prawo, na lewo, do środka, brawo piesek!

Bobek zrozumiał, że zbliża się kres niepokojącej zabawy. Ruchem rozpaczliwie zwinnym, rzucił się między nogi grubego pana, który rozciągnął się na piasku, przeskoczył panienkę

w czarnej czapeczce, okrążył chłopca w siatce, i już zdawało mu się, że widzi przed sobą wolną drogę, gdy z rzeki wyłoniła się jakaś otyła pani w czerwonym kostjumie i pochwyciła go w objęcia.

Tłum otoczył ich.

— Trzęsie się ze strachu, biedny piesek — powiedział z rozczeniem gruby pan, dokładnie z przodu oblepiony piaskiem.

— Nie ze strachu, tylko ze zmęczenia.

— Bardzo miły piesek, dlaczego on się tak boi wody, proszę pana — pytał chłopak w siatce.

— Teraz trzeba mu dać walerjanowych kropli.

— A ja uważam, że trzeba go ukarać.

— Mój paniel to już sprawa jego właściciela! — oburzył się starszy pan, który bardzo polubił Bobka. Przecież przez niego leżał broda w piasku, jak za najlepszych, dzieciennych czasów.

Ojciec wziął Bobka na ręce i głaskał jego przerażoną mordkę.

— No widzisz, Bobek, warto było tak się kompromitować, co? — mówił mu łagodnie.

I mimo wszystko wykapano Bobka, a uroczystości tej przyglądali się ze współczuciem i zadowoleniem, złośliwością i żalem, wszyscy uczestnicy naganki.

Potem już wrócili, ojciec, Henrysia i Bobek do miasta. Powitało ich mieszkanko chłodne, ciche i stęsknione. Na stole jadalnego pokoju stał w glinianym dzbanku bukiet floksów, który

niewiadomo właśnie dlaczego przyniosła Bronisława z targu.

Bobek z zadowoleniem obiegł mieszkanie, obwąchał kuchnię, pokręcił się w łazience, a potem wskoczył na krzesło pod oknem jadalnego pokoju i patrząc na drzewa i na daleką perspektywę ulicy, zaszczekał żałośnie. Może być, że zateśnił nagle do szerokiego oddechu wolnej przestrzeni.

— Zeszliśmy kawał świata, Bronisławo — powiedziała Henrysia, siedząc na zielonej skrzyni w kuchni.

— A ja, nawet że już poprosiłam pana o pensję — z godnością oznajmiła kucharka. — Nie będę w takim domu służyła, gdzie człowiek przez cztery tygodnie nie ma do kogo ust otworzyć, i siedzi z założonemi rękami, jak ten głupi.

Henrysia ze smutkiem pokiwała głową.

— Zrobi nam Bronisława wielki zawód — westchnęła. — Bo czy wie Bronisława o czym przekonał się w tej drodze? Że prawie wszyscy ludzie są sobie braćmi, a nawet także i zwierzęta, i wszystko takie jest przyjacielskie! I gdybyśmy zawsze chcieli o tem pamiętać, i Bronisława, i ja, i... wogóle, to... no, to rozumie Bronisława?

— Tere, fere, kuku! — powiedziała na to kucharka i z energją zaczęła trzepać podróżne ubranie pana. Potem jednak została na miejscu i wytłumaczyła ciotce Klarze, że — jakbym odeszła, to pan i panienka, i nawet ten niewinny pies, całkiemby, nie daj Boże, powarjowali.

